

Nr. 685—686.

BIBLIOTEKA Powszechna

Henryk Ibsen.



Podpory Społeczeństwa

Sztuka w czterech aktach.

Przełożył

KARHAL.



Każdy tomik można osobno nabyć.

Nakładem i drukiem księgarni
WILHELMA ZUKERKANDLA

W ZŁOCZOWIE.

NA SKŁADZIE
w każdej księgarni.



Założona w roku 1874 firma Księgarska

W. ZUKERKANDEL W ZŁOCZOWIE

wydaje od roku 1891 najtańsze w Polsce

==== wydawnictwo pod nazwą ====

„**BIBLIOTEKA POWSZECHNA**“

Biblioteka Powszechna wychodzi tomikami, z których każdy stanowi dla siebie odrębną całość, wyjątkowo obszerniejsze dzieła składają się z dwóch lub kilku tomików. Każdy tomik nabywać można w Księgarniach broszurowany, lub oprawiony.

Na treść tomików Biblioteki Powszechnej składa się wszystko co umysł ludzki zająć potrafi. Więc zawiera ona: dzieła poetyczne, opowieści, nowele, humoreski, dzieła sceniczne (tragedje, dramaty, komedje) tak polskich, jak i obcych pisarzy. Zawiera Biblioteka Powszechna dzieła ze wszystkich dziedzin wiedzy i nauki, jak z historii, historii literatury i t. p., z nauk przyrodniczych i t. d. Zawiera podręczniki do nauki języków, — z zakresu rozmaitych sportów, zabaw i gier, uwzględnia wszystkie potrzeby życia praktycznego.

— **CIĄG DALSZY NA str. 3. OKŁADKI.**

HENRYK IBSEN,



PODPORY SPOŁECZEŃSTWA

SZTUKA W CZTERECH AKTACH.

PRZEŁOŻYŁ

KARHAL.



LWÓW — ZŁOCZÓW.

Nakładem i drukiem księgarni Wilhelma Zukerkandla.

OSOBY.

BERNIK, radca handlowy.
BETTY, jego żona.
OLAF, ich syn 13-letni.
PANNA BERNIK, siostra radcy handlowego.
JAN TENNESEN, młodszy brat pani Bernik.
PANNA HESSEL, jej starsza siostra przyrodnia.
HILMAR TENNESEN, kuzyn pani Bernik.
ROHRLAND, wikary.
RUMMEL, kupiec.
PANI RUMMEL.
WIEGELAND } kupcy.
ALTSTEDT }
DINA DORFF, młode dziewczę, bawiące u Berników.
KRAPP, prokurzysta.
AULER, cieśla okrętowy.
PANI LINGEN, żona doktora.
PANI HOLT, żona lekarza.
PANNA HOLT.
PANNA RUMMEL.
MIESZCZANIE, MATEJKOWIE i w. i.

Rzecz dzieje się w domu radcy Bernika, w portowym miasteczku
waweskiem.



105849

K-108/80/117220

AKT I.

Wielki salon, wychodzący na ogród w domu radcy Bernika. — Na proździe sceny, po stronie lewej znajdują się drzwi, prowadzące do pokoju gospodarza; nieco dalej w tej samej ścianie drzwi drugie. Na prawo, w połowie ściany drzwi główne. Ściana w głębi, cała prawie z zwiereciadlanych szyb, ma otwarte drzwi na schody ogrodowe, nad którymi jest rozpięta zasłona. Poza schodami widny ogród, zamknięty krata i furtka. Za kratą ciągnie się ulica, zabudowana małymi, białymi domkami. — Gorący dzień letni. Od czasu do czasu ludzie mijają ulicę, zatrzymują się, rozmawiają, wstępują do sklepiku, znajdującego się w narożnym domu.

W salonie siedzi przy stole towarzystwo, z pań złożone. W środku siedzi przy stole pani Bernik, po jej lewej stronie pani Holt z córką, dalej pani Rummel i panna Rummel. Po prawej stronie pani Bernik siedzi pani Lingen, panna Bernik i Dina Dorff. Całe towarzystwo jest zajęte robotą ręczną. Na stole leżą stopy niewykończonych jeszcze i skrojonej bielizny i innych ubrań. Nieco w głębi, przy małym stoliku, na którym stoją wazon z kwiatami i szklanka cukrzanej wody, siedzi Rohrland i czyta głośno książkę z pozłaczanymi brzegami; widzów dochodzą tylko luźne słowa. Po ogrodzie biega Olaf Bernik i strzela z łuku do celu. — Po chwili wchodzi z prawej strony cieśla okrętowy Auler. Wejście jego przerywa czytanie. Pani Bernik kiwa głową przybyfemu i wskazuje mu drzwi na lewo. Auler przechodzi prosto przez pokój i kilkakrotnie lekko stuka do drzwi radcy. Prokurzysta Krapp wychodzi z pokoju z kapeluszem w ręku i papierami pod pachą.

Krapp. To pan pukałeś?

Auler. Pan radca mię wzywał.

Krapp. Zapewne; nie może jednak teraz pana przyjąć i polecił mi panu...

Auler. Panu? Ale jabym wolał...

Krapp. ...Polecił mi panu powiedzieć, abys zaniechał owych sobotnich wykładów dla robotników.

Auler. Tak? Sądziłem, że mi chyba wolno na to obrócić swój wolny czas.

Krapp. Nie wolno panu obracać wolnego czasu na to, aby robotników czynić coraz bardziej niemożliwymi. Poprzedniej soboty mówiłeś im pan o szkołach, jakie robotnicy poniosą z powodu naszych nowych maszyn i zmienionego rozkładu pracy. W jakim celu pan to robisz?

Auler. Dla dobra społeczeństwa!

Krapp. To jasne! Radca twierdzi, że się z tem wszelkie węzły społeczne rozluźniają.

Auler. Moje społeczeństwo, nie jest społeczeństwem radcy, panie prokurzysto! Jako naczelnik stowarzyszenia robotników, mam obowiązek...

Krapp. Przedewszystkiem jesteś pan naczelnikiem warsztatów radcy Bernika. Przedewszystkiem masz pan obowiązek działania na rzecz tego społeczeństwa, do którego należą przedsiębiorstwa pana Bernika; o no bowiem dostarcza nam wszystkim środków do życia. Teraz wiesz już pan, co mu radca miał do powiedzenia.

Auler. Radca byłby mi to w inny sposób powiedział, panie prokurzysto! Domyślam się już, komu mam do zawdzięczenia dzisiejszą naukę. To ten przekłety Amerykanin. Ci ludzie chcą, aby się w pracy do ich widzimisie stosowano, a to...

Krapp. Dobrze, już dobrze; nie będę się wdawał w szczegóły. Poznałeś pan zapatrywanie radcy na tę sprawę — i rzecz skończona! Wracaj pan teraz łaskawie do warsztatów, jesteś pan tam potrzebny; ja także wnet tam przyjdę. — Przepraszam panie.

Kłania się i wychodzi przez ogród na ulicę. Auler wychodzi cicho drzwiami na prawo. Rohrland, który przez czas rozmowy, przyciszonym głosem prowadzonej, dalej czytał, kończy teraz czytania opowieść i zamyka głośno książkę.

Rohrland. Tak, szanowne słuchaczki, w ten sposób kończy się nasza powieść.

Pani Rummel. Co za pouczające opowiadanie!

Pani Holt. A jak moralne!

Pani Bernik. Taka książka budzi w nas doprawdy wiele szlachetnych myśli.

Rohrland. Tak, słusznie. Stanowi ona miły równoważnik przeciw utworom, którymi nas ciągle zasypują dzienniki i czasopisma. Owe świetne, jaskrawe pozory, którymi się popisują wielkie społeczeństwa, to w istocie pustka i zgnilizna! Nie mają one żadnej moralnej podstawy. Słowem te dzisiejsze, wielkie społeczeństwa, to tylko groby pobielane.

Pani Holt. Wielka prawda.

Pani Rummel. Wystarczy spojrzeć na tych amerykańskich żeglarzy, którzy tu przebywają.

Rohrland. O takich szumowinach nie będę nawet wspominał. Lecz jakże się dzieje nawet wśród owych wyższych warstw? Wszędzie niepokój i dręcząca troska; niepokój w umysłach, niepokój we wszystkich stosunkach. Podkopane są podstawy rodziny, a najwyużdańsze chuci i przewroty zajmują miejsce prawd uświęconych.

Dina nie podnosząc oczu. Czyż obok tego nie dzieją się tam rzeczy wielkie i piękne?

Rohrland. Wielkie i piękne? Nie rozumiem...

Pani Holt zdumiona. Ależ na Boga, Dino!

Pani Rummel za nią. Dino, jakże możesz?!

Rohrland. Nie sądzę, żeby nam wyszło na pożytek, gdyby te rzeczy »wielkie i piękne« i u nas znalazły popyt. Przeciwnie, winniśmy Bogu wdzięczność za to, że u nas jest tak, jak jest. Wprawdzie i u nas kąkol wśród pszenicy pasożytuje, ale staramy się wszelkimi siłami go wyplenić. Należy, moje panie, zachować społeczeństwo w czystości, a wszelkie buntownicze żywioły, wytwór dzisiejszych gorączkowych czasów, usuwać.

Pani Holt. A takich jest niestety zbyt wiele.

Pani Rummel. Tak zeszłego roku o włos nie zaprowadzono tu kolei żelaznej.

Pani Bernik. Na szczęście, Bernik temu zapobiegł.

Rohrland. To Opatrzność, szanowna pani! Bądź pani przekonana, że mąż jej, gdy odmawiał poparcia tej sprawie, działał jako narzędzie siły wyższej.

Pani Bernik. A przecież tyle znieść musiał ze strony prasy. Ale my zupełnie zapominały o należytym panu podzięce. To doprawdy wielce ze strony pana uprzejmie, że nam tyle czasu poświęcasz.

Rohrland. O proszę... teraz w czasie wakacji.

Pani Bernik. Zawsze to jednak ofiara z pańskiej strony.

Rohrland przysuwając swe krzesło. Nie mów tego, droga pani. Czyż wy panie nie poświęcacie wszystkiego dla dobrej sprawy, a czynicie to z taką radością i ochotą... Tych moralnie upadłych, nad których uzdrowieniem pracujemy, możemy pod pewnym względem uważać za rannych na polu bitwy; wy moje panie, jesteście jak dyakonisy, te siostry miłosierdzia, które skubią szarpie dla owych nieszczęśliwców, ich rany miękką dłonią opatrują i goją.

Pani Bernik. Jest to prawdziwa łaska Boża, móżdżek wszystko widzieć w tak pięknym świetle.

Rohrland. Wiele mamy pod tym względem wrodzonego, niejedno jednak może także być samodzielnie zdobytem. Należy tylko zapatrywać się na wszystko ze stanowiska poważnych obowiązków życiowych... A pani co o tem sądzi, panno Bernik? Czy nie czujesz pani niejako pod nogami silniejszego gruntu, od czasu gdyś się zupełnie szkołą zajęła?

Panna Bernik. Ach, ja doprawdy odpowiedzi nie znajduję. Nieraz, gdy idę do szkoły, przychodzi mi pragnienie przebywania gdzieś daleko stąd, na rozkukanem morzu.

Rohrland. To są początki, kochana pani. Takie

myśli niespokojne należy odpędzać... Rozhukane morze — nie bierze pani tego zapewne dosłownie — masz pani może na myśli owe wielkie, wzburzone społeczeństwo, w którym ginie tyle rozbiteków... I zależy pani doprawdy tyle na tem życiu, którego szum nas tu dochodzi? Rzuć pani tylko okiem na ulicę: ludzie się tam uwijają wśród skwaru, zmęczenia, potem oblani i dręczą się swemi małymi troskami. Nam się już doprawdy lepiej dzieje, nam, co tu w chłodnym pokoju siedzimy, bezpieczni od wszelkich burz i niepokoїв.

Panna Bernik. Tak, masz pan słuszność.

Rohrland. A przytem w takim domu, jak ten, wśród tak zacnego, miłego otoczenia, gdzie życie rodzinne kwitnie w najpiękniejszej szacie, gdzie zgoda i jedność dzierżą panowanie... Do pani Bernik. Czego łaskawa pani nadśluchuje?

Pani Bernik zwrócona ku pierwszemu drzewom na lewo. Jakież tam gwar!

Rohrland. Czy idzie tam o co poważnego?

Pani Bernik. Nie wiem. Jest tam ktoś u męża.

Hilmar Tennesen wchodzi drzwiami na prawo z cygarem w ustach, zatrzymuje się jednak na widok tak liczego towarzystwa. Ach! przepraszam... Chce się cofnąć.

Pani Bernik. Nie, nie; chodź bliżej, Hilmarze; nie przeszkadzasz nam. Czy chciałeś czego?

Hilmar. Nie... chciałem tylko zaglądnąć. Dzień dobry paniom. Do pani Bernik. I cóż z tego będzie?

Pani Bernik. Z czego?

Hilmar. Bernik przecie zwołał zgromadzenie.

Pani Bernik. Tak? Cóż się stało?

Hilmar. Et, znowu te kolejowe szacherki.

Pani Rummel. To już doprawdy niemożliwe!

Pani Bernik. Biedny Ryszard, będzie znowu narazony na nieprzyjemności.

Rohrland. Jakże to możliwe, panie Tennesen? Przeszłego roku radca Bernik wyraźnie przecie zaznaczył, że kolei żelaznej nie chce...

Hilmar. Bez wątpienia, ale właśnie wspominał mi Krapp, że sprawa kolejowa wyłoniła się ponownie na porządek dzienny, i że Bernik odbywa właśnie naradę z trzema tutejszymi finansistami.

Pani Rummel. Zdawało mi się, że słyszę głos męża.

Hilmar. Oczywiście, jest tam także pan Rummel, pan Altstedt, oraz Reineke Wiegeland — »święty Reineke« — jak go nazywają...

Rohrland. Hm...

Hilmar. Przepraszam was, księżo.

Pani Bernik. A tu u nas było tak zacisznie i spokojnie.

Hilmar. Co do mnie, to nic nie mam przeciwko temu, aby się znów o tę kolej darli. Będzie to przynajmniej jakie takie urozmaicenie.

Rohrland. Sądzę, że nie należy sobie życzyć tego rodzaju urozmaiceń.

Hilmar. To zależy od uspołobienia. Dla pewnych jednostek niezbędne są od czasu do czasu podniecające walki, czego nam, niestety, małomiasteczkowe życie odmawia, a prztem nie każdemu dane...

Przerzuca książkę wikarego. »Dziwiarty rozdział: Kobieta, jako służebnica społeczeństwa«. Cóż to za brednie?!

Pani Bernik. Na Boga! nie mów tego, Hilmarze. Nie czytałeś zapewne tej książki.

Hilmar. Nie — dzięki Bogu.

Pani Bernik. Jesteś — zdaje się — dziś nie zdrow.

Hilmar. Jak zwykle.

Pani Bernik. Spałeś może źle tej nocy?

Hilmar. Bardzo nawet. Dla rozrywki odbyłem wczoraj małą wycieczkę, potem poszedłem do klubu i czytałem tam opis podróży do bieguna północnego.

Opis tych zapasów człowieka z żywiołami potęguje w nas wprost nasze siły.

Pani Rummel. Panbyś jednak osobistego udziału w nich brać nie chciał?

Hilmar. Odgadłaś pani; całą noc dręczyły mnie zwidy; zdawało mi się, że ściga mię jakiś wstrętny wieloryb.

Olaf ze schodów ogrodowych. Ścigał cię wieloryb, wuju? **Hilmar.** Śniło mi się to, dzieciaku! Cóż, jeszcze się bawisz tym śmiesznym łukiem? Dlaczegoż prawdziwej broni nie bierzesz?

Olaf. O, jabym bardzo chciał, ale...

Hilmar. Broń prawdziwa miałyby dla ciebie przynajmniej jakąś wartość — zawsze to działa na nerwy, kiedy ma wypalić.

Olaf. Mógłbym nawet polować na niedźwiedzie, ale tatko nie pozwala.

Pani Bernik. Nie wbijajże mu w głowę takich rzeczy, Hilmarze.

Hilmar. Hm... jakie to wy sobie pokolenie wychowujecie! Plecie się nieustannie o ćwiczeniach i wprawianiu się, a wszystko — pożałujcie Boże — jest czczą zabawką i żartem. Gdzież tu szukać tej wrodzonej odwagi, co mężnie każe niebezpieczeństwu w oczy zaglądać... nie mierz tylko wo mnie łukiem, ty błaznie, strzala gotowa jeszcze uderzyć.

Olaf. Ależ wuju, niema w nim przecie strzały.

Hilmar. Cóż ty wiesz, mogła w nim jakaś zostać. Zabierz łuk, powiadam!... Dlaczegoż u licha nie odbyłeś nigdy przejażdżki do Ameryki na którymś z okrętów ojca? Tam mógłbyś zobaczyć walkę z bawotami lub czerwonoskórcami.

Pani Bernik. Ależ, Hilmarze...

Olaf. Ach, jabym bardzo chciał, wuju, odszukałbym tam także wujka Jana i ciotkę Lonę.

Hilmar. Hm... Trom-ta-ta-ta...

Pani Bernik. Wracaj do ogrodu, Olafie.

Olaf. Mamo, mógłbym wyjść na ulicę?

Pani Bernik. Możesz, byle nie daleko. Olaf wybiega do furtki.

Rohrland. Nie należy dziecku podsuwać takich myśli, panie Tennesen.

Hilmar. Bo synek musi przecie domu pilnować i wyrósć na niedotęę, jak wielu innych.

Rohrland. Dlaczegoż pan sam nie podróżuje?

Hilmar. Ja? ze swoją chorobą? No, zapewne na to nikt w całym mieście nie zważa. Mimo to jednak, ma się pewne obowiązki względem społeczeństwa, wśród którego się żyje. Musi tu być choć jeden, coby wysoko dźwigał sztandar ducha... Ach, jakie tam wrzaski!

Panie. Wrzaski? Gdzie?

Hilmar. Nie wiem. Zbyt głośno tam tylko się narażają, to drażni mi nerwy.

Pani Rummel. To pewnie mąż mój; on przywykł do tego donośnego przemawiania na licznych zgromadzeniach...

Rohrland. Reszta także mówi nie zbyt cicho.

Hilmar. Łatwo zrozumiałe, gdy chodzi o obronę trzosa, wówczas... tu się wszystko redukuje do materialnych materyalnych wyrachowań. Ha...

Pani Bernik. Lepiej teraz, jak wówczas, gdy wszystko szło na marne.

Pani Lingen. Czy naprawdę tak tu dawniej było źle?

Pani Rummel. Mogę o tem panią upewnić. Może to pani doktorowa za prawdziwe szczęście uważać, że tu dawniej nie mieszkała.

Pani Heit. Tak, tu się wiele rzeczy zmieniło! Gdy sobie moje czasy panięskie przypominam...

Pani Rummel. Dość o jakie czternaście lub piętnaście lat wstecz sięgnąć. Boże, co tu były za sto-

sunki! Mieliliśmy tu wówczas koła: taneczne i muzyczne...

Panna Bernik. I dramatyczne; przypominam je sobie doskonale.

Pani Rummel. Wówczas tu grano pańską sztukę, panie Tennesen.

Hilmar idzie w głąb. Ot, głupstwo!

Rohrland. Sztukę pana Tennesena?

Pani Rummel. Och to było dawno, przed pańskim przybyciem... Grano ją przytem tylko raz jeden.

Pani Lingen. Czy to nie w tej sztuce grałaś pani, jak mi opowiadałaś, rolę kochanki?

Pani Rummel spoglądając ukradkiem na wikarego. Ja? Nie mogę sobie doprawdy tego przypomnieć. Pamiętam natomiast bardzo dobrze, jak tu kwitło życie towarzyskie.

Pani Heit. Boże! urządzano nawet w niektórych domach dwa razy w tygodniu huczne przyjęcia.

Pani Lingen. Bawiło tu także wędrowne towarzystwo dramatyczne...

Pani Rummel. A tak, to było ze wszystkiego najgorsze.

Pani Heit niespokojnie. Hm, hm...

Pani Rummel. Nie przypominam sobie wcale aktorów.

Pani Lingen. Ci ludzie mieli tu tyle nabroić. Jakże to było właściwie?

Pani Rummel. Och, właściwie to nic nie było, kochana pani...

Pani Heit. Podajno mi to płótno stamtąd, kochana Dino.

Pani Bernik za nią. Dino, pójdz do kuchni i powiedz Katarzynie, aby kawę podała.

Panna Bernik. Pójdz z tobą, Dino. Dina i panna Bernik wychodzą drzwiami na lewo, w głąb.

Pani Bernik powstając. Przepraszam panie na chwilę;

sądzę, że przyjemniej będzie wypić kawę na dworze. Wychodzi do ogrodu i nakrywa stół. Rohrland rozmawia z nią, stojąc we drzwiach. Hilmar siedzi na dworze i pali cygaro.

Pani Rummel przyciszonym głosem. Boże, jak mnie pani doktorowa przestraszyła!

Pani Lingen. Ja?

Pani Holt. Tak, ale pani Rummel sama właściwie zaczęła.

Pani Rummel. Ja? Jak możesz to pani mówić? Ani jedno słówko nawet nie wymknęło się z ust moich.

Pani Lingen. Ale cóż się stało?

Pani Rummel. Jakże można było wszczynać tę rozmowę!... Pomyśl pani tylko... Wszak tu była Dina...

Pani Linden. Dina? Mój Boże, czyżby ona?...

Pani Holt. I jeszcze tu, w tym domu! Czy nie wie pani, że to właśnie brat pani Bernik?

Pani Lingen. Jakto? Ja o niczem nie wiem, jestem tu tak niedawno...

Pani Rummel. Więc pani nie słyszała, że... Hm! Do córki. Mogłabyś się przejść po ogrodzie, Hildo.

Pani Holt. I ty także, Netto, a bądź dla biednej Diny uprzejmą, pamiętaj!... Hilda Rummel i Netta Holt wychodzą do ogrodu.

Pani Lingen. Cóż się stało z bratem pani Bernik?

Pani Rummel. Czy nie wie pani, że to on właśnie spowodował cały skandal?

Pani Lingen. Hilmar Tennesen spowodował skandal?

Pani Rummel. Ależ, mój Boże, nie; Hilmar jest przecie kuzynem pani Bernik. Ja mówię o jej bracie...

Pani Holt. O tym samym, który tak nagle znikł...

Pani Rummel. Nazywał się Jan. Wyjechał do Ameryki.

Pani Holt. Musiał to oczywiście uczynić.

Pani Lingen. I on to był sprawcą tego okropnego skandalu?

Pani Rummel. Tak, to było... jakże mam to nazwać?...

Było to z matką Diny. Przypominam sobie to tak dokładnie, jakby dopiero wczoraj było zaszło... Jan Tennesen zajmował się wówczas interesami starej pani Bernik, a Ryszard Bernik właśnie był wrócił z Paryża; jeszcze nie był zaręczony...

Pani Lingen. Ale to całe zajście?...

Pani Rummel. Otóż owej zimy bawiło tu towarzystwo dramatyczne pana Millera...

Pani Holt. Do trupy jego należał także artysta Dorff z żoną. Cała młodzież szalała za nią.

Pani Rummel. Bóg wie, co w niej pięknego widzieli... Otóż raz ów Dorff wraca późno w nocy do domu.

Pani Holt. Zupełnie niespodzianie...

Pani Rummel. I zastaje u siebie... to doprawdy nie da się opisać.

Pani Holt. Ależ, moja pani, on zastał tylko... drzwi od wewnątrz zamknięte.

Pani Rummel. To właśnie mówiłam, drzwi były zamknięte i — pomyśleć tylko, ten, który tam był, musiał oknem wyskoczyć.

Pani Holt. Wyskoczyć z takiej wysokości!

Pani Lingen. I to był brat Bernik?

Pani Rummel dobitnie. Brat pani Bernik.

Pani Lingen. Potem udał się do Ameryki?

Pani Holt. Musiał to uczynić.

Pani Rummel. Bo potem wyszło na jaw coś jeszcze gorszego. Wyobrażcie sobie: naruszył pieniądze w kasie.

Pani Holt. Tego jednak nie sprawdzono, pani Rummel, może to były tylko plotki.

Pani Rummel. Proszę pani!... Czy nie mówiło o tem całe miasto? Czy pani Bernik nie była blizką bankructwa wskutek okradzenia kasy? Opowiadaj mi to przecie mąż. Ale strzeż mnie Boże przed moimi słowy...

Pani Holt. W każdym razie pani Dorff tych pie-
niędzy nie dostała, bo ona...

Pani Lingen. Jakże się później ukształtowały sto-
sunki między rodzicami Diny?

Pani Rummel. Dorff porzucił zupełnie żonę i dziecko
i poszedł w świat. Ale ta pani była na tyle bez-
czelna, że tu jeszcze cały rok siedziała. Na scenie
oczywiście się już pokazać nie mogła, utrzymywała
się z prania i szycia...

Pani Holt. Później chciała udzielać nauki tańców.

Pani Rummel. To jej się — rzecz jasna — nie
udało. Jacyż bowiem rodzice powierzaliby takiej
kobiecie swe dzieci? Wszystko to jednak nie długo
trwało, ta wykwintna pani nie była przywykłą do
pracy; zachorowała na serce i — umarła.

Pani Lingen. Och, to doprawdy brzydka sprawa!

Pani Rummel. Łatwo sobie wyobrazić, jaka to była
gorzka pigułka dla Bernika. Stanowi to ciemną pla-
mę na słońcu ich szczęścia, jak się mój mąż ongiś
wyraził. Nie wspominaj pani tedy tu nigdy o tych
rzeczach.

Pani Holt. Ani też — na miłość Boską — o si-
strze przyrodniej.

Pani Lingen. Pani Bernik miała także przyrodną
siostrę?

Pani Rummel. Na szczęście tylko miała, gdyż
teraz zerwane są związki pokrewieństwa z obojgiem.
Ale bo też to była... Pomyśl sobie pani tylko, miała
włosy krótko strzyżone, a w czasie niepogody nosiła
męskie buty.

Pani Holt. A gdy brat jej, ten człowiek zgubiony,
wywędrował do Ameryki i całe miasto na siebie obu-
rzył — wie pani, co ona zrobiła? — udała się
za nim.

Pani Rummel. Tak, a ten ohydny postępek, któ-
rego się przed wyjazdem dopuściła?!

Pani Holt. Cyt, nie wspominaj pani o tem!

Pani Lingen. Boże, więc ona także?...

Pani Rummel. Tak — posłuchaj pani. Ryszard Bernik
właśnie zaręczył się z Betty Tennesen i w chwili,
gdy prowadząc ją pod ręką, szedł z nią do jej ciotki,
aby jej udzielił wiadomości o zaręczynach...

Pani Holt. Trzeba pani wiedzieć, że Tennesenowie
nie mieli już wówczas rodziców...

Pani Rummel. ...Leona Hessel powstała i wykwin-
tnemu, wykształcomu Ryszardowi Bernikowi wycięła
taki policzek, że mu aż oko posiniało.

Pani Lingen. Czyż to możliwe?

Pani Holt. Istotnie, tak było.

Pani Rummel. Potem upakowała rzeczy i wsiadła
na okręt.

Pani Lingen. Więc sama zapewne chciała go usidlić?

Pani Rummel. To rzecz jasna. Spodziewała się, że
się z nią ożeni po powrocie z Paryża.

Pani Holt. Taka zarozumiałość! Bernik, ten młody,
wytworny światowiec, lew salonów, ulubieniec
kobiet...

Pani Rummel. A przytem pełen taktu, na wskrós
moralny.

Pani Lingen. I cóż ta panna Hessel w Ameryce
robi?

Pani Rummel. To już — widzi pani — jak się mąż
mój wyraził, pokrywa zasłona, której trudno uchylić.

Pani Lingen. Jakto?

Pani Rummel. Stosunki jej z rodziną zostały zer-
wane; wie o tem jednak całe miasto, że śpiewała
po hotelach za pieniądze...

Pani Holt. Że miewała publiczne wykłady...

Pani Rummel. I że wydała jakąś niedorzeczną
książkę.

Pani Linden. Książkę?!

Pani Rummel. Tak. Leona Hessel jest również

plamą na szczęściu rodzinnem Berników... Teraz jesteś już o wszystkim uwiadomiona, pani doktorowo. Bóg mi świadkiem, że mówiłam o tych sprawach tylko dlatego, abyś była ostrożna...

Pani Lingen. Bądź pani spokojną, będę. Tylko ta biedna Dina Dorff. Jak mi jej żal!

Pani Rummel. Dla niej to prawdziwe szczęście, że się sprawa tak ułożyła. Pomyśl tylko pani, gdyby się ona była dostała pod opiekę swych rodziców! Myśmy się oczywiście wszystkie nią zaopiekowały i przestrzegaliśmy ją, jak mogliśmy, a potem pannie Bernik się udało zapewnić jej schronienie w tym domu.

Pani Holt. Zawsze jednak trudno było ją pokierować. Naturalnie... to skutek owych gorszących przykładów... Taka dziewczyna, to przecie nie to, co nasze dzieci...

Pani Rummel. Cyt — otóż i ona! Głośno. Ta Dina, to doprawdy dzielna dziewczyna... Ach jesteś tu, Dino?

Pani Holt. Ach, jak słicznie pachnie twa kawa, droga Dino! Taka przedobiednia filiżaneczka...

Pani Bernik ze schodów ogrodowych. Bądźcie łaskawe, moje panie! Panna Bernik i Dina w międzyczasie przynoszą wraz z służącą przybory do kawy. Wszystkie panie zasiadają w ogrodzie, rozmawiając z Diną z wyszukaną uprzejmością. Po chwili jednak Dina sama wraca do salonu, szukając swej roboty.

Pani Bernik przy stole w ogrodzie. Dino, nie napijesz się z nami?

Dina. Nie, dziękuję. Siada i szyje. Pani Bernik zamienia z wikarym kilka słów; po chwili wikary wchodzi do salonu.

Rohrland udając, że czegoś szuka, mówi przyciszonym głosem. Dino.

Dina. Co?

Rohrland. Dlaczego pani nie wyjdzie do stołu?

Dina. Wchodząc z kawą, poznałam po twarzy tej obcej pani, że tam była o mnie mowa.

Rohrland. Była przecie dla pani tak uprzejmą,

Dina. Nie znoszę jednak tego.

Rohrland. Uparta z pani istota, Dino.

Dina. Przyznaję.

Rohrland. Czemuż jesteś taką?

Dina. Bo inną być nie mogę.

Rohrland. Czy nie mogłabyś się pani o to starać?

Dina. Nie.

Rohrland. Dlaczego nie?

Dina patrząc na niego. Należę do moralnie upadłych!

Rohrland. Wstyd, panno Dino!

Dina. Moja matka także była z ich grona.

Rohrland. Kto pani mówił o takich rzeczach?

Dina. Nikt. Ze mną się nie mówi. I z jakież to przyczyny? Wszyscy się ze mną tak ostrożnie obchodzą, jak gdybym się stłuc mogła... Ach, jak ja tej wyrozumiałości nienawidzę.

Rohrland. Pojmuję to dobrze, droga Dino, że tu pani odczuwa pewne przygnębienie, jednakże...

Dina. Gdybym ja się stąd tylko wydostać mogła! Dałabym już sobie sama radę w świecie, byłem tylko nie musiała przebywać wśród ludzi, którzy...

Rohrland. Którzy?...

Dina. Którzy są tak przywoici, tak cnotliwi!

Rohrland. Cóż pani przez to rozumie?

Dina. O, wiesz to pan dobrze, co mam na myśli. Dzień w dzień przychodzą tu panna Rummel i Netta Holt, abym sobie z nich przykład brała. Takiego wychowania, jak one, nigdy zdobyć nie zdołam. Nie zależy mi na tem... Ach, gdybym tylko mogła już być daleko stąd... byłabym wówczas doprawdy... bardziej poprawną.

Rohrland. Jesteś nią pani i teraz.

Dina. Na cóż mi się to tu przydać może?

Rohrland. Więc wyjazd... Czy pani doprawdy nosi się z tym zamiarem?



Dina. Nie zabawiałabym tu przez dzień nawet, gdyby nie pan.

Rohrland. Powiedźże mi pani, dlaczego to właściwie tak lubisz moje towarzystwo?

Dina. Bo mię pan uczysz tylu pięknych rzeczy.

Rohrland. Pięknych? Nazywasz więc pięknemi moje nauki?

Dina. Tak. Lubo właściwie... To nie pańskie nauki; to tylko gdy słyszę pańskie słowa, mam wrażenie, że mię... że mię jakieś piękno owiewa...

Rohrland. Co pani właściwie rozumiesz pod owem pięknem?

Dina. Nie zastanawiałam się nad tem nigdy.

Rohrland. To zastanów się pani teraz nad tem, co znaczy owo piękno.

Dina. Piękno... to jest... to coś wspaniałego... coś dalekiego stąd!

Rohrland. Hm... Moja droga, ja ogromną czuję z powodu pani troskę.

Dina. Tylko?

Rohrland. Wie pani przecie, jak bardzo drogą mi jesteś.

Dina. Gdybym była Hildą lub Nettą, nie lękałbys się tak bardzo, aby nas kto nie podpatrzył.

Rohrland. Dino, jakże może pani tak dalece lekceważyć owe tysiączne względy... Skoro się jest powołanym na stanowisko moralnej podpory społeczeństwa, wśród którego się żyje — natenczas nie można nigdy być dość ostrożnym... Gdybym tylko posiadał pewność, że mi nikt nie zarzuci niewłaściwych pobudek... Mniejsza jednak o to. Należy ci się pomoc, należy i — doznasz jej... Dino, skoro — gdy mi okoliczności na to pozwolą — powiem: oto moja ręka, czy przyjmujesz ją pani i zostajesz mą żoną; czy dasz mi wówczas przychylną odpowiedź?

Dina. Tak.

Rohrland. Dzięki, dzięki! Bo i ja także... Ach, Dino, jak ty mi drogą jesteś... Ct! Ktoś idzie. Dino, wyjdź tam do nich, uczyni to dla mnie.

Dina odchodzi do stołu. W tejsze chwili wychodzą drzwiami na przedzie sceny Rummel, Altstedt i Wiegeland, za nimi Bernik z plikiem papierów w ręku.

Bernik. Sprawa więc załatwiona...

Wiegeland. Tylko na miłość boską...

Rummel. Załatwiona, Berniku. Masz słowo.

Bernik. I nikt się z nas nie cofnie, choćbyśmy się spotkali z najzwziętszym oporem.

Rummel. Stoimy jeden przy drugim, a jak przyjdzie upaść, upadniemy razem.

Hilmar staje w drzwiach ogrodowych. **Upaść? Przeproszam, czy to kolej żelazna przypadkiem nie wyrwiecia kolozą?**

Bernik. Przeciwnie, przyjdzie do skutku...

Rummel. ...Siłą pary, panie Tennesen.

Hilmar zbliżając się. **Doprawdy?**

Rohrland. Jak to? kolej?

Pani Bernik w drzwiach ogrodowych. **Kochany Ryszardzie, o co tu właściwie idzie?**

Bernik. Ach, moja droga, to dla ciebie obojętne. Do trzech panów. Musimy teraz przygotować memoriał... im prędzej, tem lepiej. Rzecz jasna, że my czterej się pierwsi podpiszemy. Nasze stanowisko społeczne tego od nas wymaga i o ile to tylko będzie w naszej mocy...

Altstedt. Rozumie się, panie radco.

Rummel. Musimy to przyprowadzić do skutku, Berniku.

Bernik. O; co się tyczy wyniku, to żadnych nie mam wątpliwości. Należy przedewszystkiem jednać dla sprawy przyjaciół, każdy w kole swych znajomych, a skoro będziemy mogli liczyć na współudział wszystkich warstw społecznych, to i gmina niewątpliwie nie odmówi nam wsparcia.

Pani Bernik. Ależ mój drogi, czy nie przyjdiesz tu do nas i nam nie opowiesz?...

Bernik. Moja droga, to są sprawy — nie dla pań.

Hilmar. Zajmiesz się tedy istotnie sprawą kolei żelaznej?

Bernik. Oczywiście.

Rohrland. Przed rokiem przecie, pan radca...

Bernik. Przed rokiem sprawa się inaczej przedstawiała. Chodziło o kolej nadbrzeżną...

Wiegeland. ...Co było rzeczą zupełnie zbyteczną, mamy przecie okręty...

Altstedt. ...Które tyle pieniędzy pochłonęły...

Rummel. A przytem wpłynęłoby to niekorzystnie na miejscowe stosunki.

Bernik. Rozstrzygnął wzgląd na to, że wyszłoby to na niekorzyść warstw wyższych. Dlatego się temu sprzeciwił i dlatego też wybrano linię, przez głąb kraju prowadzącą.

Hilmar. Ale ona do naszych okolic nie dojdzie.

Bernik. Owszem, dojdzie nawet do miasta naszego, bo zbudujemy odnogę.

Hilmar. Ah, więc to świeży pomysł!

Rummel. W dodatku znakomity — nie?

Rohrland. Hm...

Wiegeland. A co więcej, nawet opatrność nadarzyła nam teren na boczną linię kolei.

Rohrland. Sądziś pan tak rzeczywiście?

Bernik. Tak, przynaję, że tu współdziałała jakaś siła nadprzyrodzona. Gdym mianowicie na wiosnę dla celów mych przedsiębiorstw odbył podróż w okolicy, wjechałem przypadkiem w dolinę, dotychczas zupełnie mi nieznaną, i na jej widok uderzyła mię, jak błyskawica, myśl, że w tem miejscu należałoby zbudować odnogę. Wysłałem tam inżyniera i mam tu plan cały, tudzież przybliżony kosztorys. Sprawa nie wymaga nadzwyczajnych wysiłków.

Pani Bernik stojąc wraz z innymi paniami w drzwiach ogrodowych. Czemuż, Robercie, okrywałeś wszystko przed nami tajemnicą?

Bernik. Nie byłybyście nawet, moja droga, zdołały ocenić doniosłości tej sprawy, a zresztą do dnia dzisiejszego nie mówiłem o tem z żadną żyjącą istotą. Teraz jednak nadeszła stanowcza chwila, teraz należy jawnie i wszelkiemi siłami zabrać się do dzieła.

Rohrland. Czy to przedsiębiorstwo doprawdy tyle rokuje korzyści?

Bernik. Oczywiście. Będzie to ogromna dźwignia dla całego naszego społeczeństwa. Weźmy tylko pod uwagę owe olbrzymie przestrzenie lasowe, do których zyskamy dostęp, te niewyczerpane kopalnie, które będzie można teraz wyzyskać, wreszcie rzekę: wodospad za wodospadem. Ileż to gałęzi przemysłu może się tu rozwinąć!

Rohrland. Nie lęka się pan bliższej styczności z tą pełną zepsucia zagranicą?

Bernik. Bądź pan spokojny, panie wikary. Nasze drobne a skrętne społeczeństwo, ma — chwalić Boga — zdrowe, moralne podłoże pod nogami; wszyscyśmy, że się tak wyrażę, pracowali nad jego uszlachtowaniem i nadal pracować będziemy każdy w swoim zakresie. Pan, panie wikary, będziesz dalej prowadził swe dzieło w szkole i rodzinie, my, ludzie pracy, będziemy się starali o możliwie największe szerzenie dobrobytu, a żony nasze — przybliżcie się, moje panie — nasze żony, powiadam, żony i córki będą i dalej pracowały na niwie miłości bliźniego i, jak to dotąd czyniły, będą wszystkim podporą i pomocą — tem, czem moja droga Betty i Marta są dla mnie i dla mego Olafa. Ogląda się. Gdzież jest znowu Olaf?

Pani Bernik. Niepodobniestwem jest teraz, w czasie wakacyi, utrzymać go w domu.

Bernik. Poleciał już z pewnością znów nad wodę. Zobaczysz, że to źle się skończy.

Hilmar. Ba! — mała igraszka z żywiołami...

Pani Rummel. Jak to pięknie, panie Bernik, że masz tyle gorącego uczucia dla rodziny.

Bernik. Rodzina jest przecie jądrem społeczeństwa. Spokojne gniazdo, przywiązani przyjaciele, mała, ściśle ograniczona liczba znajomych, wolna od wszelkich burzących żywiołów i...

Krapp wchodzi drzwiami na prawo z listami i czasopismami.

Krapp. Poczta z zagranicy, panie radco, i telegram z Nowego Jorku.

Bernik odbiera. Ach! to od właścicieli »Gazeli«.

Rummel. To już pocztę przynieśli? Muszę wobec tego panów pożegnać.

Wiegeland. I ja również.

Altstedt. Żegnaj, panie radco.

Bernik. Do widzenia, do widzenia. A przypominam, że o piątej mamy ponownie naradę.

Wszyscy trzej. Tak, tak; oczywiście.

Odchodzą drzwiami na prawo.

Bernik odczytawszy telegram. Nie, to prawdziwie amerykański sposób! Wprost oburzające!...

Pani Bernik. Na Boga, co się stało, Robercie?

Bernik. Przeczytaj no pan to, panie Krapp!

Krapp czyta. »Wysłać »Gazelę« natychmiast, skoro się będzie mogła utrzymać na morzu. Poczynić niezbędniejsze tylko naprawy. Pora sprzyjająca. Musi koniecznie popłynąć z ładunkiem«. No, tego to już...

Bernik. Popłynie z ładunkiem! Ci panowie wiedzą przecie dobrze, że okręt ten z ładunkiem zatoni niechybnie... jak kamień w wodę rzucony.

Rohrland. Jawny dowód, jak sobie postępują owe wielkie, przechwalane społeczeństwa.

Bernik. Tak, to słuszna uwaga. Żadnej wartości nie ma u nich życie ludzkie, gdy o ich korzyść własną

chodzi. Do Krappa. Czy »Gazela« może za cztery lub pięć dni stanąć na kotwicy?

Krapp. Może... gdyby tylko pan Wiegeland się zgodził, aby na ten czas przerwać robotę przy »Palmie«.

Bernik. Hm, on na to nie pozwoli. Jednakże... przegłdnij pan teraz łaskawie pocztę... A czy nie widział pan gdzie w porcie Olafa?

Krapp. Nie, panie radco. Wchodzi do pokoju na lewo.

Bernik przegląda jeszcze raz telegram. Życie ośmnastu ludzi narazić na zgubę. Ci panowie na to się nie oglądają.

Hilmar. Et, walka z żywiołami, to przecie ich powołanie, to musi ogromnie podniecać, gdy pomiędzy sobą a otchłanią czuje się marną deszczulkę...

Bernik. No, chciałbym tylko widzieć przedsiębiorcę okrętowego, któryby w ten sposób rozumował, nie znajdziesz tam nawet jednego! Spozstrzega Olafa. Chwała Bogu, że jest zdrów i cały!

Olaf przebiega ulicę i ogród z wędką w ręku i wpada drzwiami ogrodowymi.

Olaf jeszcze w ogrodzie. Wuju Hilmarze, byłem nad morzem i widziałem parowiec.

Bernik. Znowuś był w porcie?

Olaf. Nie, byłem tylko na łódce. Ale wiesz, wuju, wysiadło tu na ład całe towarzystwo cyrkowe wraz z końmi i dzikimi zwierzętami, a z nimi mnóstwo podróżnych.

Pani Rummel. O Boże, miałbyś tu doprawdy cyrk zjechać?

Rohrland. Cyrk? To dla nas rzecz zupełnie obojętna.

Pani Rummel. No tak, dla nas, jednakże...

Dina. Chciałabym tak bardzo cyrk zobaczyć!

Olaf. Ja także.

Hilmar. Głuptas z ciebie! Cóż tam można zobaczyć?! Głupia tresura! Zupełnie co innego przypatrzeć się

czerwonoskórcowi, jak pędzi za zwierzem na swym spienionym ogierze. Ale tu, mój Boże, w jakiejś nędznej budzie...

Olaf ciągnąc za rękaw pannę Bernik. Ciociu, popatrzno, oto idą!

Pani Holt. Tak jest, otóż i oni.

Pani Lingen. Brr! co to za brzydale!

Tłum podróżnych i mnóstwo miejscowej ludności mija ulicę.

Pani Rummel. Prawdziwi kuglarze, jakaś hołota nędzna. Patrzaj pani, pani Holt, na tę tam w szarej sukience, z torbą na plecach,

Pani Holt. Widzę... dźwiga ją na parasolce! To widać żona dyrektora.

Pani Rummel. A to prawdopodobnie sam dyrektor... ten tam z brodą. Brr, ten wygląda jak prawdziwy zbój! Nie patrz tam, Hildo!

Pani Holt. Ani ty, Netto!

Olaf. Mamo, patrz, dyrektor nam się kłania!

Bernik. Co on robi?

Pani Bernik. Co mówisz, dziecko?

Pani Rummel. Tak, na Boga, ta kobieta również się kłania!

Bernik. To zaiste bezczelność!

Panna Bernik z mimowolnym okrzykiem. Ach!

Pani Bernik. Cóż to, Marto?

Panna Bernik. Nic, nic, zdawało mi się tylko... i

Olaf wykrzykuje radośnie. Patrzcie, patrzcie, nadchodzi reszta z końmi i dzikimi zwierzętami! A oto i Amekanie! Wszyscy marynarze »Gazeli«.

Słychać muzykę, która gra marsz amerykański „Yankee Doodle“ przy wtórze trąb i klarinetów.

Hilmar zatykając sobie uszy. Aj, aj, aj!

Rohrland. Sądzę, łaskawe panie, że lepiej będzie stąd się cofnąć, to nie dla nas. Powróćmy lepiej do naszej roboty.

Pani Bernik. Możeby spuścić franki?

Rohrland. Tak, to będzie najodpowiedniejsze.

Panie zasiadają przy stole; wikary zamyka drzwi ogrodowe, spuszcza story; cały salon pozostaje w półcieniu.

Olaf wyglądając. Mamo, teraz ta dyrektorka stoi przy basenie i myje twarz.

Pani Bernik. Co? Na miejscu publicznem!

Pani Rummel. W biały dzień!

Hilmar. No, gdybym ja tak podróżował po pustyni i odnalazł tam czystą wodę, nie wahałbym się również... Ach! Ten obrzydły klarnet!

Rohrland. Policja powinna tu doprawdy wkroczyć.

Bernik. No, tak znowu nie; z cudzoziemcami nie można tak bezwzględnie postępować. Ci ludzie nie mają przecież wrodzonego poczucia obyczajności, które nas powstrzymuje od niewłaściwych kroków. Niech sobie robią, co im się podoba. To nas nie obchodzi. Wszelkie te wykroczenia przeciw przyzwoitości i obyczajności nie mają na szczęście nic wspólnego z naszym społeczeństwem, że się tak wyrazić mogę. — A to co znowu?

Obca pani wchodzi pośpiesznie drzwiami na prawo.

Wszystkie panie przerażonym i nieco przyciszonym głosem. Cyrkówka! Żona dyrektora!

Pani Bernik. Na Boga, cóż to znaczy?!

Panna Bernik zrywając się. Ach!

Przybyła. Dzień dobry, droga Betty! Dzień dobry,

Marto! Dzień dobry, swagrze!

Pani Bernik z okrzykiem. Lona!...

Bernik cofając się o krok. To ona!...

Pani Holt. Wielki Boże!...

Pani Rummel. Czyż to możliwe?...

Hilmar. O! o!

Pani Bernik. Lona!... Czy to ty naprawdę?...

Panna Hessel. Czy ja naprawdę? Oczywiście, to ja. Możecie mię bezpiecznie uściskać.

Hilmar. O! o!

Pani Bernik. Przybywasz teraz tutaj?...

Bernik. I chcesz istotnie wystąpić?...

Panna Hessel. Wystąpić? Nie rozumiem...

Bernik. No, między tymi... kuglarzami...

Panna Hessel. Ha-ha-ha! Czyś oszalał, szwagrze? Sądziś, że należę do trupy cyrkowej? Bynajmniej; uprawiałam wprawdzie liczne rzemiosła, narażając się przytem na śmiechy, jednakże...

Pani Rummel. Hm...

Panna Hessel. ...Jazdą na koniu nie popisywałam się nigdy.

Bernik. Dobrze przynajmniej.

Pani Bernik. Chwałaż Bogu!...

Panna Hessel. Odbywaliśmy podróż, jak wszyscy przyzwoici ludzie...

Pani Bernik. Odbywaliśmy, powiadasz?

Bernik zbliżając się. Co za my?

Panna Hessel. Ja i dzieciak — rzecz jasna.

Panie chórem. Dzieciak?!

Hilmar. Co?!

Rohrland. Tu już przyznać muszę!...

Pani Bernik. Kogoż masz na myśli, Lono?

Panna Hessel. Oczywiście Janka; nie mam przecie innego dziecka, prócz Janka, czy — jak wy go nazywacie — Jana.

Pani Bernik. Jan!...

Pani Rummel półgłosem do pani Lingen. Ten sam, który tak nagle znikł.

Bernik niepewny. Więc Jan tu przybył?

Panna Hessel. Ależ przybył! bez niego nie wybiegam się w podróż. Czegóż wy macie takie osowiałe twarze? Siedzicie tu w półświecie i szyjecie coś białego... Czy może jaki wypadek śmierci w rodzinie?

Rohrland. Znajduje się tu pani w stowarzyszeniu dla moralnie upadłych...

Panna Hessel półgłosem. Co pan mówi? Te wykwin-tne panie byłyby...

Pani Rummel. Nie, cóż znowu!

Panna Hessel. Ach! rozumiem, rozumiem! Cóżu licha, wszak to pani Rummel! A tam siedzi pani Holt! No, my trzy nie odmłodniałyśmy wcale od czasu, gdyśmy się widziały po raz ostatni... Ale posłuchajcie mnie, moi drodzy: niech moralnie upadli poczekają jeszcze dzień jeden, nie upadną przez to niżej. Ta chwila jest tak radosną...

Rohrland. Powrót nie zawsze bywa radosnym.

Panna Hessel. Nie zawsze? Jakże tłumaczysz swoją biblię panie pastorate?

Rohrland. Nie jestem pastorem.

Panna Hessel. To zostaniesz nim pan kiedyś niezawodnie. Ach, jaki ta moralna bielizna ma niemily zapach... jak cafun grobowy. Ja przywykłam do świeżego powietrza amerykańskich stepów...

Bernik ociera pot z czoła. Rzeczywiście, tu powietrze zbyt ciężkie.

Panna Hessel. Poczekaj, wydostaniemy się wnet z tego grobowca. Podnosi story. Musi tu być jasno zupełnie, gdy przyjdzie mój zacny chłopak. Ujrzycie tu chłopca, który, gdy się umyje...

Hilmar. O! o!

Panna Hessel otwierając drzwi i okna. ...To znaczy, gdy się oporządzi w hotelu, bo na statku chodził osmolony, jak węglarz.

Hilmar. O! o!

Panna Hessel. O, o? Czy to nie... ten!... Wskazując Hilmara, pyta innych. Ten się tu ciągle wierci ze swem odwiecznym »o, o«?

Hilmar. Nie wierzę się wcale; przebywam tu tylko z powodu mej choroby.

Rohrland. Hm, moje panie, sądzę, że...

Panna Hessel spostrzegłszy Olafa. Czy to twój, Betty? Podaj mi rękę, maly! Czy może się lękaś swej starej, brzydkiej ciotki?

Rohrland biorąc swą książkę pod pachę. Moje panie, nie sądzę, aby nastrój obecny nadawał się do dalszej pracy, natomiast jutro zbierzemy się znowu.

Panna Hessel podczas gdy inne panie zabierają się do wyjścia. Tak, jutro zbierzemy się znowu. Ja będę także naswem stanowisku.

Rohrland. Pani? Przepraszam, cóż pani ma wspólnego z naszym stowarzyszeniem!

Panna Hessel. Przewietrzę je, panie pastorze!

AKT II.

Pokój ten sam.

Pani Bernik siedzi przy stole z robotą. Po chwili nadchodzi radaea Bernik z laską, w rękawiczkach, z kapeluszem na głowie — drzwiami na prawo.

Pani Bernik. Już z powrotem, Ryszardzie?

Bernik. Tak, przyjdzie tu ktoś do mnie.

Pani Bernik wzdychając. Ach — znowu tu będzie dziś Jan.

Bernik. Oczywiście. Kładzie kapelusz na stole. Gdzież są dziś te wszystkie panie?

Pani Bernik. Pani Rummel i Hilda nie miały czasu.

Bernik. Tak? Wymówiły się?

Pani Bernik. Są ogromnie domem zajęte.

Bernik. Ma się rozumieć... Inne także nie przyjdą?

Pani Bernik. Nie, mają również jakieś przeszkody.

Bernik. To było do przewidzenia... Gdzie Olaf?

Pani Bernik. Pozwoliłam mu wyjść trochę z Diną.

Bernik. Hm!... ta Dina... to lekkomyślna dziewczyna... Tak jawnie okazywać swoje zajęcie się Janowi!

Pani Bernik. Ależ, mój drogi, Dina przecie nie wie o niczem...

Bernik. To Jan powinien był okazać się taktowniej-szym i mniej na nią zwracać uwagi. Gdybyś była widziała, jakimi spojrzzeniami obrzucał ich Wiegeland!

Pani Bernik kładąc robotę na kolanach. Ryszardzie, nie domyślasz się przypadkiem, po co oni tu przywędrowali?

Bernik. Hm; on ma tam jakąś fermę, na której mu nieszczęśliwie idzie, a ona z naciskiem powtarzała, że nie stać ich było na jazdę pierwszą klasą...

Pani Bernik. Tak, to widocznie coś w tym rodzaju. Ale że też i ona się odważyła... Ona! Po tej haniebnej zniewadze, jaką ci wyrządziła!...

Bernik. Ach, zapomnij już raz o tych starych dziejach!

Pani Bernik. Gdybym tylko mogła... To przecie brat mój... choć mi nie tyle o niego samego chodzi... ale te wszystkie nieprzyjemności, jakie cię spotkać mogą... Mam jakieś smutne przeczucia, Ryszardzie...

Bernik. Dlaczegoż to?

Pani Bernik. Boję się, aby go nie uwięziono z powodu tych pieniędzy, które sobie przywłaszczył na niekorzyść twojej matki.

Bernik. Co za niedorzeczność! Któż mu to udo wodni?

Pani Bernik. Mój Boże! wie o tem przecie całe miasto, ty sam nawet wspominałeś.

Bernik. Nie wspominałem o niczem! Co miasto może wiedzieć? To były tylko bezmyślne plotki.

Pani Bernik. Jakiś ty wspaniałomyślny, mój drogi!

Bernik. Daj mi już wreszcie pokój z temi wspomnieniami, powiadam! Dręczysz mię bez potrzeby wznowianiem tej przestarzałej sprawy. Chodzi podniecony po pokoju, potem odrzuca laskę. Że też teraz właśnie po-

wrócić musieli, teraz, gdy tyle zależy od mej dobrej sławy wśród społeczeństwa i prasy. W pismach miast sąsiednich ukażą się niewątpliwie o tem notatki. Bez względu na to, czy ich przyjmę dobrze lub źle, sprawę tę będą wszyscy omawiali i roztrząsali i zaczną całą na nowo wywlekać... jak ty to czynisz. W społeczeństwie takim, jak nasze... rzucez rękawiczki na stół. I nie mieć przytem człowieka, przed którymby się zwierzyć mógł, u któregobym znalazł pomoc!

Pani Bernik. Nikogo, Ryszardzie?

Bernik. Nikogo... kogożby?... Że mi też właśnie teraz na kark spadł! Jestem pewny, że w ten, czy inny sposób wywołają skandal. To prawdziwe niezczęście mieć takie jednostki w rodzinie!

Pani Bernik. Jam temu nie winna, że...

Bernik. Któż mówi o twojej winie? Żeś z nimi spokrewniona?... To prawda, na to jednak żadnej rady niema.

Pani Bernik. Nie prosiłam ich też o to, aby wrócili...

Bernik. Widzisz... znowu ta sama śpiewka! Nie prosiłam... nie wyzwałam... nie pisałam! Umiem już tę całą litanię na pamięć.

Pani Bernik zalewa się łzami. Jakis ty niegodziwy...

Bernik. I to jeszcze: płacz, płacz, będą mieli o czem mówić w mieście... Dajno pokój tym dzieciństwom. Idź, usiądź sobie w ogrodzie, gotów jeszcze ktoś tu nadejść. Zobaczą tylko żonę radcy Bernika z zaczerwienionymi oczyma... Ładnieby to było, gdyby się między ludzi dostała wiadomość, że... Słyszę czyjeś kroki w przedpokoju! Ktoś puka. Proszę.

Pani Bernik wychodzi ze swoją robotą do ogrodu, a z prawej strony wchodzi Auler.

Auler. Dzień dobry, panie radco.

Bernik. Dzień dobry. Zapewne domyślasz się pan, po co go wzywałem.

Auler. Prokurzysta oświadczył mi wczoraj, że jesteś pan niezadowolony, że...

Bernik. Z całej gospodarki na warsztatach nie jestem zadowolony. Robota wcale się nie posuwa naprzód. »Palma« już oddawna miała być na porzu. Wiegeland ustawicznie nalega, nie daje mi spokoju.

Auler. »Palma« może pojutrze rozpuścić żagle.

Bernik. Nareszcie! A ta amerykańska »Gazeta«, która tu leży od pięciu tygodni i...

Auler. Ten statek amerykański? Sądziłem, że należy przedewszystkiem obrócić wszystkie siły na wykończenie naszego własnego okrętu.

Bernik. Nie dałem panu powodu do tego przypuszczenia. Okręt amerykański należało również jak najprędzej doprowadzić do porządku, a tego nie uczyniono.

Auler. Dno okrętowe jest zupełnie przegniłe, im więcej około niego pracujemy, tem większe się okazują braki.

Bernik. Nie w tem jest właściwa przyczyna; Krapp mi to objaśnił. Nie umiesz pan używać nowych maszyn, które sprowadziłem, albo — co gorsza — używać ich nie chcesz.

Auler. Panie radco, dźwigam już szósty krzyżyk; od najwcześniejszej młodości przywykłem do dawnej metody...

Bernik. Dziś nie możemy się już na niej ograniczyć. Nie sądz pan, że mi tu chodzi wyłącznie o zyski. Na szczęście jest to względ drugorzędny, ale ja muszę się liczyć ze społeczeństwem, w którym żyję, i z przedsiębiorstwem, na którego czele stoję. Ja to muszę robić pierwsze kroki na drodze postępu, inaczey wszystko zamrtwieje w застоju.

Auler. I jabym nie mniej pragnał postępu, panie radco.

Bernik. Tak, dla swej jedynie warstwy — dla robotników. O, znam ja dobrze pański sposób myślenia,

Wygłaszasz jakieś mowy, rozmarzasz niemi i podburzasz ludzi, lecz gdy chodzi o postęp... namacalny, podobnie jak teraz z temi maszynami, wtedy cofasz się pan — lęk cię bierze i obawa.

Auler. Tak, lęk i obawa, panie radco; żal mię ogarnia z powodu tych kroci robotników, których maszyny chleba pozbawiają. Powtarzasz pan tak często, panie radco, że należy mieć wzgląd na społeczeństwo, a ja sądzę, że i społeczeństwo ma swoje obowiązki. Wiedza i kapitał nie powinny póty wprowadzać nowych wynalazków, póki społeczeństwo nie wychowa pokolenia, któreby istotnie ich zapotrzebowało.

Bernik. Za wiele czytasz i rozmyślasz, panie Auler; nie wychodzi ci to wcale na dobre, napęnia cię bowiem goryczą i niezadowoleniem z obecnych stosunków.

Auler. Bynajmniej, panie radco. Oburza mię tylko to, że te maszyny odbierają uczciwym robotnikom, jednemu po drugim, sposób do życia i chleb.

Bernik. Hm, gdy wynaleziono sztukę drukarską, nie jeden pisarz został bez chleba.

Auler. Czy jednak byłbyś się cieszył tym wynalazkiem, panie radco, gdybyś był wówczas pisarzem?

Bernik. Nie wzywałem tu pana, aby się wdawać z nim w jakieś rozprawy; chciałem oświadczyć, że pojutrze »Gazela« wypłynąć musi.

Auler. Ależ, panie radco...

Bernik. Powtarzam: pojutrze! Jednocześnie z naszym własnym okrętem, ani o godzinę później. Nie bez przyczyny żądam pośpiechu. Czytałeś pan poranne dzienniki?... No, to wiesz pan, że Amerykanie pozwolili sobie znowu na jakieś szalone wybryki. Ta nieposkromiona dzicz napęnia całe miasto niepokojem; niema nocy, aby w szynkach lub na ulicy nie wywołałi jakiejs bójki, nie mówiąc już o innych becezeństwach.

Auler. Tak, to istotnie źli ludzie.

Bernik. I na kogoż spada za to odpowiedzialność? Na mnie! Na mnie wszystko zwalają. Ci panowie od gazet wymyślają mi, wytykają, że wszystkie siły obracam na »Palmę«. I ja, co za swój obowiązek uważam oddziaływanie własnym przykładem na współobywateli, muszę pozwalać na to, aby mi miotano w twarz takie zarzuty! Tego znosić nie myślę, nie pozwolę imienia swego okrywać... brudami.

Auler. O, panie radco, masz stawę tak nieskażoną, że nie naruszyłyby jej nawet i gorsze zarzuty.

Bernik. Nie teraz, gdy mi potrzebnem jest imię nieskalane i przychylność współobywateli. Zamyslałem podjąć wielkie przedsiębiorstwo — o czym pan zapewne słyszałeś — a gdyby się przypadkiem udało złośliwym językom zachwiać bezwzględne ku mnie zaufanie ogółu, mógłbym popaść w najprzykrejsze położenie. Chcę za wszelką cenę uwolnić się od tych oszczerstw dziennikarskich i dlatego termin nazaczyłem na pojutrze.

Auler. Panie radco, możesz pan równie dobrze termin naznaczyć na dziś — po południu.

Bernik. Sądzisz pan, że żądam niepodobieństwa?

Auler. Tak, wobec liczby robotników, którą rozporządzamy...

Bernik. Rozumiem... wobec tego postaramy się o środki skuteczniejsze.

Auler. Pan radca zamysła doprawdy więcej jeszcze dawnych robotników oddalić?

Bernik. Nie, tego zamiaru nie mam.

Auler. Sądzę, że toby wywołało niezadowolenie zarówno w mieście, jak i prasie.

Bernik. To jest więcej, jak prawdopodobne; dlatego też zatrzymam wszystkich. Tylko, jeśliby »Gazela« pojutrze nie rozpuściła żagli, oddalę pana.

Auler zdumiony. Mnie! z uśmiechem. To chyba żart, panie radco.

Bernik. Bynajmniej.

Auler. Pan radca mógłby doprawdy myśleć o oddaniu mnie? Mnie, którego ojciec i dziad życie stawali na pracy w warsztatach, mnie, który...

Bernik. Zmuszasz mię pan do tego.

Auler. Pan radca domaga się niepodobieństwa.

Bernik. Dobre chęci nie znają niepodobieństwa. Tak, lub nie! Dasz mi pan stanowczą odpowiedź, albo masz odprawę natychmiast.

Auler zbliża się do niego. Panie radco, czyś to rozważył, co to znaczy wywalić starego robotnika? Czy pan myśli, że tu chodzi o oglądnięcie się za nową robotą? Tak, to drobnostka, ale czy sądzisz pan, że na tem koniec? Powinienbyś pan kiedy zajrzeć do izdebki takiego wydalonego robotnika, pod wieczór, gdy wraca do domu i swoje graty za drzwi usuwa.

Bernik. Czy mniemasz pan, że oddalam cię z lekkiem sercem? Nie byłemże zawsze dla robotnika ludzkim, wyrozumiałym chlebodawcą?

Auler. Tę gorzej, panie radco, bo rodzina moja nie panu przypisze winę. Nie będą mi czynili wyrzutów, bo na to się nie odważą, ale będą wciąż na mnie spoglądali pytająco, myśląc przy tem: musiał na to zasłużyć. Widzi pan, tegobym ja nie zniósł. Jakkolwiek stanowisko moje jest tak małoznaczne, przywykłem jednak do tego, aby uchodzić za głowę rodziny. Moje skromne ognisko tworzy także małe społeczeństwo. Byłem podporą i głową tego małego społeczeństwa, bo mi żona i dzieci ufaly... I to wszystko miałoby teraz runąć?

Bernik. Tak, jeśli innego wyjścia няма, większość musi pochłonąć mniejszość; jednostka musi być w imię Boga poświęconą ogółowi. Nie mogę panu

osobę, którejby można we wszystkim zaufać i liczyć na jej przychyłość.

Jan. A ona sama?

Bernik. Ona? Cóż ona? Czy nie ma o kim myśleć, kim się zajmować? Ma przecie Betty, Olafa, no i mnie. Człowiek wogóle, a kobieta w szczególności nie powinna myśleć jedynie o sobie. Wszyscy powinniśmy w większym lub mniejszym zakresie działać dla społeczeństwa. Ja — przynajmniej — to czynię. Nawiązując do zjawienia się Krappa, który wchodzi drzwiami na prawo z papierami w rękę. Oto masz dowód. Czy sądzisz, że zajmuję się li tylko sprawami własnymi? Bynajmniej. Żywo do Krappa. I cóż?

Krapp cicho, wskazując na swe papiery. Wszystkie układy kupna uskutechnione.

Bernik. Wybornie, znakomicie! — Szwagrze, musisz mi wybaczyć. Głosem przyciszonym, ściskając mu rękę. Dzięki ci, Janie, dzięki! Zapewniam cię, że wszystko, co będzie w mej mocy, uczynię dla ciebie... Proszę pana, panie Krapp. Wchodzi do pokoju rady.

Jan spogląda za nimi chwilę. Hm... Zmierza ku ogrodowi. — W tejsz chwili wchodzi Marta Bernik drzwiami na prawo z koszykiem w rękę. Patrzajcie! Marta!

Panna Bernik. Ach, Janie... to ty?

Jan. Gdzież z takim pospiechem?

Panna Bernik. Tak... Poczekaj chwilę, wnet tamci nadejdą. Idzie ku drzwiom na lewo.

Jan. Marto, czy ty się zawsze tak spieszysz?

Panna Bernik. Ja?

Jan. Wczoraj unikałaś mię wyraźnie, tak, żem nie mógł nawet z tobą pomówić, a dziś...

Panna Bernik. Ależ...

Jan. Dawniej bywaliśmy zawsze razem — my, dawni towarzysze zabaw.

Panna Bernik. Ach, Janie, tyle już lat upłynęło!

Jan. Mój Boże, piętnaście lat... Sądziś, żem się tak bardzo zmienił?

Panna Bernik. Ty? O tak — i ty; chociaż...

Jan. Co chcesz powiedzieć?

Panna Bernik. O, nic...

Jan. Nie bardzo -- jak mi się zdaje — rada jesteś z mego powrotu, Marto?

Panna Bernik. Czekalam tak długo, Janie... Czekalam zbyt długo.

Jan. Czekaaś? Na mój powrót?

Panna Bernik. Tak.

Jan. W jakim celu miałem wracać?

Panna Bernik. Aby dźwignąć, coś zniweczył.

Jan. Ja?

Panna Bernik. Czyś zapomniał, że z twojej winy zginęła ta kobieta z nędzy i wstydu? Czyś zapomniał, że z twojej winy ta dziewczyna ma zatrute najpiękniejsze lata?

Jan. I to mi powtarzasz ty? Marto, czy nigdy brat twój?...

Panna Bernik. Brat mój? Co on...

Jan. Czy on nigdy... czy... nie wypowiedział nigdy jakiego słówka na moje uniewinnienie?

Panna Bernik. Ach on? Znasz przecie nieugiętość Ryszarda pod tym względem.

Jan. Hm... oczywiście, oczywiście, znam nieugiętość zasad mego dawnego przyjaciela, Ryszarda. — Jednakże... Mówiłem z nim właśnie i zdaje mi się, że poglądy jego zmieniły się pod wielorakim względem.

Panna Bernik. Jak możesz tak mówić? Ryszard był zawsze człowiekiem niepospolitym.

Jan. Nie o to mi chodziło, ale dajmy temu pokój... Hm! pojmuje teraz, w jakim ci się przedstawiłem świetle: czekałaś powrotu człowieka upadłego.

Panna Bernik. Powiem ci, Janie, w jakim mi się przedstawiałeś świetle. Pokazuje palem na ogród. Widzisz

tę dziewczynę, która się tam z Olafem bawi na murawie? To Dina. Pamiętasz o tym niezrozumiałym liście, który mi przy wyjeździe wysłałaś? Prosiłaś w nim, abym ci ufała, a ja ci tego nie odmówiłam, Janie. Wszystko, co o tobie potem mówiono, uważałam tylko za skutek chwilowego obłądzenia z twej strony, za zło, w któreś zabrnął bez namysłu, wbrew własnej woli...

Jan. Nie rozumiem doprawdy...

Panna Bernik. O, rozumiesz mię dobrze... Pomińmy jednak to całe zajście. Wyjechać musiałaś, aby rozpocząć nowe życie, przyznając... Ja więc, Janie, twoja towarzyszka od lat młodocianych, zajęłam twoje miejsce. Obowiązki, o których spełnieniu zapomniałaś, albo których spełnić nie mogłaś, podjęłam ja. Powtarzam ci to, aby cię zwolnić od wyrzutów, którebyś sobie mógł o to czynić. Byłam dla tego biednego maleństwa matką, wychowywałam je, jak mogłam najlepiej...

Jan. I na to zmarnowałaś całe życie...

Panna Bernik. Nie zmarnowałam go, tylko ty, Janie, wróciłaś za późno.

Jan. Marto... gdyby mi mówić wolno było... Przyjmże przynajmniej wyrazy wdzięczności za tę wierną przyjaźń.

Panna Bernik uśmiecha się z przymusem. Hm!... Wypowiedzieliśmy sobie wszystko wzajemnie, Janie... Cicho, ktoś nadchodzi. Żegnaj, nie mogę teraz...

Wychodzi drzwiami w głębi, na lewo. Z ogrodu wchodzi panna Hessel z panią Bernik.

Pani Bernik jeszcze w ogrodzie. Na miłość boską, Lono, co się z tobą dzieje?

Panna Hessel. Puść mnie, powiadam, muszę się z nim rozmówić!

Pani Bernik. Ależ toby był okropny skandal! Ach! Janie, jesteś tu jeszcze?

Panna Hessel. Wyjdźże stąd, czego się tłuczysz po pokoju! Idź do ogrodu, znajdziesz tam Dinę.

Jan. Miałem właśnie zamiar...

Pani Bernik. Ależ...

Panna Hessel. Słuchaj, Janie, czyś się dobrze przypatrzył Dinie?

Jan. Myślę.

Panna Hessel. Przypatrzo się jej dobrze, Janie, toby było coś dla ciebie!

Pani Bernik. Lono!!

Jan. Coś? dla mnie?

Panna Hessel. Tak... rozglądnijno się tylko. Idźże!

Jan. Z największą przyjemnością. Idzie do ogrodu.

Pani Bernik. Lono, drętwieję z przerażenia. Żartowałaś chyba!

Panna Hessel. A, żartowała!... Czy nie świeża z niej, zdrowa i dobra dziewczyna? Ta właśnie jest, jak dla niego na żonę stworzona. Tylko takiej mu potrzeba tam za morzem; przy niej czulby się inaczej, jak przy starej, przyrodnej siostrze.

Pani Bernik. Dina! Dina Dorff! Pomyśl tylko!...

Panna Hessel. Myślę przedewszystkiem o jego szczęściu... Muszę mu w tem być pomocną, samby sobie rady nie dał; nie ma wyoobrażenia, jak ma postępować z kobietami lub dziewczętami.

Pani Bernik. Kto? Jan?... Sądziłam inaczej, złożył tyle pod tym względem smutnych dowodów...

Panna Hessel. Do licha z temi głupimi historyami! Gdzie Bernik? Chcę z nim pomówić.

Pani Bernik. Lono, radzę ci, nie czyni tego!

Panna Hessel. No, no... Skoro się ona jemu, a on jej spodoba — to niech się pobiorą. Bernik jest przecie tak rozumnym człowiekiem; znajdziemy przy jego pomocy jakiś środek...

Pani Bernik. Sądziś, że i u nas uchodzą takie amerykańskie bezceństwa?...

Panna Hessel. Głupstwo, moja miła...

Pani Bernik. I że człowiek, jak Ryszard, mający tak surowe moralne zasady...

Panna Hessel. No, tak bezwzględnie surowe one nie są.

Pani Bernik. Co śmiesz mówić?

Panna Hessel. Śmiem twierdzić, że Bernik pod tym względem nie przewyższa innych mężczyzn.

Pani Bernik. Więc twoja nienawiść dotąd przetrwała! Czegoż przyjechałaś tu, jeśliś zapomnieć nie mogła, że?... Nie pojmuję doprawdy, jak śmiesz po tej zniewadze haniebnej, jaką mu wyrządziłaś, pokazywać mu się jeszcze na oczy!

Panna Hessel. Tak, Betty, uniosłam się wówczas za nadto.

Pani Bernik. A jak ci wspaniałomyślnie przebaczył, choć nic nie zawinił! Cóż mógł poradzić na to, żeś jakieś żywiła nadzieje! Ale odtąd zniecierpliwiłaś i mnie także. Zalewa się łzami. Tyś nigdy mego szczęścia nie pragnęła, a teraz przychodzisz, aby wszystko na mnie zwalić, aby miastu pokazać, w jaką to rodzinę dostał się — za moją sprawą — Ryszard. Mnie to napelnia boleścią, a tobie też tylko o to chodzi. To z twej strony niegodziwie!

Odechodzi płacząc, drzwiami w głębi na lewo.

Panna Hessel spoglądając za nią. Biedna Betty.

Bernik wychodzi ze swego pokoju

Bernik we drzwiach. Bardzo dobrze, panie Krapp, wybornie. Poślij pan stowarzyszeniu, zajmującemu się biednymi chorymi, 500 marek. Odrzaca głowę. Lona! Przybliża się do niej. Samaś tu? Czy Betty niema?

Panna Hessel. Nie. Czy mam ją zawołać?

Bernik. Nie, nie; tem lepiej. Nie przypuszczasz nawet, Lono, jak gorąco pragnęłam z tobą pomówić... prosić cię o przebaczenie!

Panna Hessel. Słuchajno, Ryszardzie, daj pokój sentymentom, to nam nie przystoi.

Bernik. Musisz mię wysłuchać, Lono. Wiem dobrze, że pozory przeciw mnie świadczą, skoro się dowiedziałas, co zaszło między mną, a matką Diny. Przysięgam ci jednak, że to był obłęd chwilowy; kochałem cię wówczas gorąco i szczerze.

Panna Hessel. Po co — jak sądzisz — przybyłam tu do was?

Bernik. Zaklinam cię, abys bez względu na swe zamysły, zanim coś przedsięweźmiesz, wysłuchała wpierw mojej obrony. Mam się czem usprawiedliwić, Lono.

Panna Hessel. Jak ty drżysz z obawy. — Twierdzisz, żeś mię niegdyś kochał. O tak, w listach zapewniałeś mię nieraz o tem, a może to było i prawdą... przynajmniej wówczas, gdy byłeś stąd daleko, wśród szerokiego, swobodnego świata, który budził w tobie pragnienie swobody i szerszych widnokręgów. Może odgadywałeś we mnie nieco więcej duszy i samodzielności, jak u innych w tym domu. A przytem była to tajemnica pomiędzy nami, nikt cię więc wydrwić nie mógł za twój zły smak.

Bernik. Lono, co za przypuszczenie...

Panna Hessel. Gdy jednak wróciłeś, gdyś słyszał, jak mię wszystko wysmiewało i wyszydzalo z powodu moich mniemanych dziwactw...

Bernik. Byłaś wówczas w wysokim stopniu nieogłędna.

Panna Hessel. Głównie z tego powodu czyniałam to, aby te wycacane istoty obojej płci na siebie oburzyć. A potem gdy się w mieście zjawiła ta młoda uwodzicielka z teatru...

Bernik. To był szal chwilowy, nic więcej, przysięgam ci; w tych wszystkich plotkach, które sobie

z takim zaciekawieniem opowiadano, nie było i dziesiątej części prawdy.

Panna Hessel. Być może; skoro jednak wkrótce potem Betty wróciła do domu, piękna, urocza, przez wszystkich wielbiona, i gdy się dowiedziano, że ona ma odziedziczyć cały majątek ciotki, a ja nie dostanę nic...

Bernik. Dotarliśmy wreszcie do jądra sprawy, Lono; wyjawię ci teraz wszystko, bez ogródek. Nie kochałem wówczas Betty, nie zrywałem też z tobą z powodu jakiegoś nowego uczucia. — Czyniłem to z pobudek — czysto materyalnych. Byłem do tego zmuszony.

Panna Hessel. I powtarzasz mi to tak swobodnie?

Bernik. Wysłuchaj mię, Lono...

Panna Hessel. Pisałeś mi jednak, żeś zapalał nieposkromioną miłością ku Betty, odwoływałeś się do mojej wielkoduszności, zaklinałeś, abym ze względu na nią zamilczała o naszym stosunku.

Bernik. Powiadam ci, byłem do tego zniewolony.

Panna Hessel. Przysięgam na Boga żywego, że mi już tego nie żal, żeś się wówczas tak uniosa!

Bernik. Pozwól sobie spokojnie i bez uniesień przedstawić nasz ówczesny stosunek. Matka moja, jak zapewne pamiętasz, stała wtedy na czele naszych przedsięwzięć, nie będąc wszakże do tego wcale uzdolnioną. Musiałem tedy bezzwłocznie wracać z Paryża: stan rzeczy był jak najniepomyślniejszy i na mnie spadał obowiązek dzwignięcia go. Bo cóż tu zastałem? Zupełną ruinę — choć z konieczności okrywałem to tajemnicą. Ruinę przedsięwzięcia, które istniało od trzech już pokoleń... I cóż miałem zrobić ja syn, jedyny syn? Musiałem szukać deski ratunku...

Panna Hessel. I ocaliłeś siebie i rodzinę kosztem kobiety.

Bernik. Wiesz, jak bardzo kochała mnie Betty.

Panna Hessel. A ja?

Bernik. Wierzaj mi, Lono — ty nie byłabyś nigdy ze mną szczęśliwa.

Panna Hessel. Więc może zerwałeś ze mną z troskliwości o me szczęście?

Bernik. Czy sądzisz, że skłoniły mnie do tego kroku pobudki samolubne? Gdybym wówczas był sam, byłbym z ochotą poszedł za głosem obowiązku i uczucia, nie chciałem jednak zapomnieć, jaka to odpowiedzialność spada na człowieka, który drogą spadku obejmuje w posiadanie jakieś przedsiębiorstwo. Setki i tysiące bytów ludzkich staje się od niego zależnymi. Pomnij, że całe społeczeństwo, do którego oboje należymy, byłoby odebrało cios bolesny, gdyby Bernikowie byli upadli.

Panna Hessel. Czy i w tem także kierowałeś się względami na społeczeństwo, żeś przez lat piętnaście pozostawał wiernym kłamstwu?

Bernik. Kłamstwu?

Panna Hessel. Czy Betty wie o wszystkim, co zaszło dawniej i potem, w czasie twojego już z nią stosunku?

Bernik. Po cóż miałem bez potrzeby ranić jej uczucia tem wyznaniem?

Panna Hessel. Bez potrzeby, powiadasz? No tak, jesteś przecie przemysłowcem, musisz się znać na tem, co potrzebne. — Wysłuchaj jednak i mnie, Ryszardzie, będę mówiła także spokojnie, nie unosząc się. Powiedz mi: czy jesteś istotnie szczęśliwym?

Bernik. W stosunkach rodzinnych?

Panna Hessel. Tak.

Bernik. Jestem szczęśliwy, Lono. Ofiara twa, płynąca z przyjaźni, nie poszła na marne. Mogę nawet powiedzieć, że szczęście moje zwiększało się z każdym rokiem. Betty jest dobrą i uległą i z biegiem

czasu nauczyła się zupełnie stosować do mnie, do moich zasad i pojęć...

Panna Hessel. Hm...

Bernik. Dawniej miała mnóstwo przesadnych wyobrażeń o miłości, nie mogła się pogodzić z tą myślą, że jej gwałtowna namiętność musi się z czasem przekształcić w spokojną przyjaźń.

Panna Hessel. A teraz się z tem pogodziła?

Bernik. W zupełności. Zrozumiesz, że ciągnęła moja obecność musiała na nią wyrzucić swój wpływ. Ludzie muszą koniecznie wymagania swe wzajemnie ustosunkowywać, jeśli chcą zająć właściwe miejsce w społeczeństwie. Betty z czasem oswoiła się z tą zasadą i dzięki temu dom nasz stał się wzorem dla współobywateli naszych.

Panna Hessel. Współobywatela ci jednak nie wiedzą o tem kłamstwie?

Bernik. O kłamstwie?

Panna Hessel. O kłamstwie, którego piętno dźwięgał na sobie od lat piętnastu.

Bernik. I nazywasz to?...

Panna Hessel. Kłamstwem. Po trzykroć kłamstwem. Przedewszystkiem względem siebie samego, następnie kłamstwem względem Betty i w końcu względem Jana.

Bernik. Betty nie domagała się nigdy zwierzeń ode mnie.

Panna Hessel. Bo nie wiedziała o niczem.

Bernik. I ty nie będziesz tego żądała przez wzgląd na nią.

Panna Hessel. O, nie; przytyki są mi obojętne; nie robią już na mnie wrażenia.

Bernik. Jan również nie będzie tego wymagał; przyrzekł mi to.

Panna Hessel. A ty sam, Ryszardzie? Czy nie budzi się w tobie chęć odrzucenia przez tej obłudny?

Bernik. Czy mam dobrowolnie wyrzec się domowego szczęścia i mego stanowiska w społeczeństwie?!

Panna Hessel. Jakie masz prawo do szczęścia?

Bernik. Od lat piętnastu zdobywam sobie bezustannie cząsteczkę po cząsteczce tego prawa: zdobywam sobie mojem postępowaniem i tem, com zdziałał i dokonał.

Panna Hessel. A zdziałałeś wiele zarówno dla siebie jak dla innych. Jesteś najbogatszym i najbardziej wpływowym obywatelem miasta; wszyscy uznają twą wyższość, bo cię mają za człowieka zanego, bez skazy; wzorowym jest twój dom, wzorowem twe życie. Aureola ta jednak, podobnie jak i ty sam na słabem spoczywa podłożu. Jedna chwila, jedno słowo mogą obalić twoje znaczenie, jeżeli go nie utrwalisz we właściwym czasie.

Bernik. Lono — czegoż ty żadasz?

Panna Hessel. Chcę ci dopomóc do zdobycia trwałego podłoża pod nogami.

Bernik. Zemsta! Chcesz się mścić? Przeczynałem to! Nie uda ci się to jednak! Tu jeden tylko ma prawo do głosu, a on milczy.

Panna Hessel. Czy Jan?

Bernik. Tak, Jan. Gdyby kto inny śmiał przeciw mnie wystąpić, zarzucę mu fałsz. Jeśli będzie chodziło o me stanowisko, mój byt, walczyć będę w obronie mej na śmierć i życie. Zwycięsko nie wyjdiesz ty, powiadam ci to. Ten jeden, coby mię zgubić mógł, milczy — i jedzie stąd.

Rummel i Wiegeland wchodzi z prawej strony.

Rummel. Dzień dobry, dzień dobry, kochany Berniku; musisz się z nami wybrać do stowarzyszenia kupieckiego na posiedzenie w sprawie kolei.

Bernik. Nie mogę. Niepodobna.

Wiegeland. Musisz pójść z nami, radco.

Rummel. Musisz. Są tam ludzie, którzy przeciw nam knują. Redaktor Hammer i inni, którzy byli za założeniem kolei nadbrzeżnej; twierdzą, że w zamiarach naszych tkwi interes osobisty.

Bernik. Wytłumaczcie im...

Wiegeland. Tłumaczenia nasze nic nie znaczą, panie radco.

Rummel. Ty tu osobiście musisz wystąpić; przeciw tobie nikt takiego zarzutu nie podniesie.

Panna Hessel. O tem jestem przekonana.

Bernik. Nie mogę, z pewnością was. Jestem niezdrow... a zresztą... muszę to wprawier rozważyć.

Rohrland wchodzi z prawej strony.

Rohrland. Przepraszam, panie radco; oburzenie moje nie ma granic...

Bernik. Cóż panu jest?

Rohrland. Pozwolę sobie na jedno pytanie, panie radco. Czy to dziewczę, któremuś pod swym dachem udzielił schronienia, ukazuje się za twojem pozwoleniem jawnie na ulicy w towarzystwie człowieka, który...

Panna Hessel. O kim to mówisz, panie pastarze?

Rohrland. O człowieku, który najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie jej unikać powinien.

Panna Hessel. Oho!

Rohrland. Czy to się dzieje za pańskim pozwoleniem, panie radco?

Bernik szukając kapelusza i rękawiczek. O niczem nie wiem. Przepraszam pana; śpieszę się; czekają na mnie w stowarzyszeniu kupieckiem.

Hilmar wchodzi z ogrodu i idzie ku drzwiom w głębi na lewo. Betty, Betty, chodźno tu!

Pani Bernik we drzwiach. Cóż takiego?

Hilmar. Udaj się natychmiast do ogrodu i połóż koniec zalecankom, na jakie sobie pewna osoba względem tej Diny Dorff pozwala. Mnie to wprost denerwuje.

Panna Hessel. Nawet? I cóż ta osoba mówiła?

Hilmar. Nie mniej, nie więcej jak to, aby się z nim Dina udała do Ameryki. O, o!

Rohrland. Czy możliwe?!

Pani Bernik. Co mówisz?

Panna Hessel. Toby było wybornie!

Bernik. To niemożliwe. Musiałeś źle słyszeć!

Hilmar. To go sam zapytaj. Oto masz tę parkę. Tyłko mnie nie wspominaj.

Bernik do Rammla i Wiegelanda. Przyjdę tam... za chwilę...

Rummel i Wiegeland wychodzą drzwiami na prawo. Jan i Dina przychodzą z ogrodu.

Jan. Brawo, Lono! Dina jedzie z nami.

Pani Bernik. Ależ Janie!... ty roztrzeпаńcze!...

Rohrland. To niestychane. Tak oburzający skandal!... Jakimi środkami obfudy udało się panu...

Jan. Ostrożnie, ostrożnie, przyjacielu; zo to pan mówi?

Rohrland. Odpowiedz mi pani, Dino, czy to istotnie twój zamiar... Czy to czynisz z własnej, niekępowanej woli?

Dina. Muszę stąd wyjechać.

Rohrland. I to z nim, z nim?!

Dina. Wskaż mi pan kogo innego, któryby miał odwagę zabrać mię ze sobą.

Rohrland. No, to dowiedz się pani, kim on jest.

Jan. Milcz pan!

Bernik. Ani słowa więcej!

Rohrland. Złabyłm przez to oddał usługę społeczeństwu, na którego obyczajów i moralności straż stoję. Wyrządziłbym niemniej krzywdę tej niewinnej dziewczynie, w której wychowaniu i ja uczestniczyłem i która mi...

Jan. Przestrzegam pana!...

Rohrland. Ona wiedzieć będzie: Dino, ten to człowiek ściągnął na twą matkę nieszczęście i hańbę!

Bernik. Panie wikary!...

Dina. On! Do Jana. Czy to prawda?

Jan. Ryszardzie, ty odpowiedz!

Bernik. Ani słowa więcej! na dziś dość tego!

Dina. Więc to prawda!...

Rohrland. Tak, prawda, prawda! I więcej jeszcze. Ten człowiek, którego pani darzysz zaufaniem, nie uchodził stąd z próżnymi rękoma... Kasa pani Bernik... Radca może poświadczyć!

Panna Hessel. Kłamco!

Bernik. Ha!

Pani Bernik. O Boże, Boże!

Jan rzucając się z podniesioną ręką na Rohrlanda. Ty śmiesz!...

Panna Hessel powstrzymując go. Janie, nie uderzysz go.

Rohrland. Groźba tu nic nie poskutkuje. Prawda musi wyjść na jaw, a to jest prawdą. Radca Bernik sam to powiedział i całe miasto o tem wie. Teraz zna już pani tego człowieka, Dino. Chwilowe milczenie.

Jan półgłosem, chwytając Bernika za ramię. Ryszardzie, Ryszardzie, coś ty zrobił!

Pani Bernik ze łzami, głosem przytłumionym. O Ryszardzie, jakiegom ja cię nabawiła wstydu!

Altstedt wchodzi szybko z prawej strony i woła z ręką na kłamece. Chodź pan bez zwłoki, panie radco! Kolej wisi już tylko na włosku!

Bernik nieprzytomny. Cóż to? Co... ja?...

Panna Hessel poważnie, z naciskiem. Idź szwagrze, udziel poparcia społeczeństwu.

Altstedt. Chodź pan, chodź; potrzeba nam całej twojej moralnej przewagi.

Jan do Bernika na stronie. Jutro musimy się rozmówić!

Wychodzi do ogrodu; Bernik, jakby bez przytomności wychodzi z Altstedtem drzwiami na prawo.

AKT III.

Pokój ten sam.

Bernik z trzcina w ręku wychodzi wzburzony z ostatnich drzwi po lewej stronie i zostawia je na pół otwarte.

Bernik. No! Przekonał się wreszcie, że żartować nie myślę. Dzisiejszych kijów nie prędko zapomni. Do osoby znajdującej się w pokoju. Co mówisz? A ja ci powiadam, że jesteś nierozsądną matką! Uniewinniasz go i osłaniasz, mimo jego niemożliwe wybryki. Nie wybryki? Jakżeż to nazwiesz? Wymknąć się w nocy z domu, popłynąć z rybakami na morze, wrócić dopiero o dziesiątej z rana i takiej śmiertelnej mnie nabawić trwogi — mnie, co tyle na sobie trosk dźwigam. A jeszcze łobuz śmiał mi grozić, że ucieknę! Niechby tylko spróbował!... Ty? O, ja wiem, że ci mało zależy na jego doli czy niedoli. Gdyby nawet swe życie naraził!... Tak sądzisz? Nie, nie chcę tego... nie wielka dla mnie pociecha być bezdzietnym... Żadnych protestów, Betty; z pokoju wyjść mu nie wolno; zakazałem mu. Nadsłuchując. Cicho! niech nikt nawet nie przypuszcza...

Krapp wchodzi z prawej strony.

Krapp. Czy ma pan chwilkę czasu, panie radco?

Bernik odrzucając trzcinę. Mam, mam. Pan wraca z warsztatów?

Krapp. Prosto stamtąd. Hm...

Bernik. Cóż? Jakże z »Palma«?

Krapp. »Palma« może jutro wypłynąć, ale...

Bernik. Więc idzie o »Gazelę«? Przeczynałem, że ten nieugięty...

Krapp. »Gazela« może również jutro wypłynąć, tylko — zbyt daleko nie popłynie.

Bernik. Co pan przez to rozumie?

Krapp. Przepraszam, panie radco, te drzwi są nieprzymknięte, jest tam ktoś?...

Bernik zamykając drzwi. Tak. Czegoż to inni słyszeć nie powinni?

Krapp. Czego?... że naczelnik ciesielski Auler zamierza zgubić »Gazelę«... niepowrotnie.

Bernik. Mój Boże! Skąd to podejrzenie?...

Krapp. Inaczej sobie tego wytłumaczyć nie umiem.

Bernik. Powiedźże mi pan krótko...

Krapp. Zaraz. Wiadomo panu radcy, jak powolnie szły roboty od czasu zastosowania nowych machin i przyjęcia tych niewprawnych robotników...

Bernik. Wiem, wiem.

Krapp. Przeszedłszy jednak dziś rano do warsztatów, zauważyłem, że naprawa amerykańskiego statku dokonywa się z zadziwiającą szybkością, że ten wielki otwór na dnie, w miejscu zupełnie przegniłemu i...

Bernik. Cóż dalej?

Krapp. Otóż wszystko to jest zupełnie naprawione — na pozór; wygląda zupełnie jak nowe. Opowiadano mi, że Auler pracował przy nim przez całą noc...

Bernik. Więc cóż?

Krapp. Poszedłem to obejrzeć; ludzie byli właśnie przy śniadaniu, mogłem więc bez przeszkody zbadać robotę zewnątrz i wewnątrz; z wielkim tylko trudem udało mi się dostać na dno załadowanego okrętu; tu może być wynik bardzo smutny.

Bernik. Nie mogę temu uwierzyć, panie Krapp. Nie mogę i nie chcę o coś podobnego Aulera posądzić.

Krapp. Przykro mi wprawdzie, jednakże przedstawiłem panu radcy nagą prawdę. Powtarzam, że się to może źle skończyć. Zamiast zastąpić przegniłe belki nowymi, pokryto je tylko deskami i miejscami nadpsute pomalowano świeżo. Czyste partactwo. »Gazela« nigdy nie zawinie do New-Yorku; pójdzie na dno, jak garnek dziurawy.

Bernik. To niegodziwość... Jakież — według pańskiego zdania — kryje się w tem zamiar z jego strony?

Krapp. Chce prawdopodobnie obniżyć wartość nowych maszyn; chce się zemścić; chce przeprowadzić ponowne przyjęcie wydalonych robotników.

Bernik. I z tego powodu poświęca życie tylu ludzi...

Krapp. Twierdził niedawno, że na pokładzie »Gazeli« niema ludzi, są tylko bydłeta.

Bernik. Być może, ale czy nie powstrzymuje go wzgląd na kapitały, które tu przepadną?

Krapp. Auler, panie radco nie jest zwolennikiem kapitałów.

Bernik. Zapewne, zapewne, to duch niespokojny, ale taka niegodziwość... Jednakże sprawę tę należy jeszcze raz zbadać. Nie wspominaj nikomu o tem nawet słówkiem jedynem. Gdyby się wieść o tem rozpowszechniła, ucierpielibyśmy wiele na sławie.

Krapp. Rozumie się... jednakże...

Bernik. W czasie odpoczynku południowego staraj się pan znowu tam dostać; musimy mieć pewność bezwzględna.

Krapp. Spełnię polecenie, panie radco, ale — pan radca wybaczy śmiałość — jak postąpimy wówczas?

Bernik. Oddamy sprawę natychmiast sądowi. Nie możemy przecie przykładać ręki do zbrodniczego czynu. Muszę dbać o czystość swego sumienia, a przytem zrobi to pożądané wrażenie na społeczeństwie i prasie, gdy się okaże, że jestem wolny od wszelkich względów osobistych, tam, gdzie idzie o sprawiedliwość.

Krapp. Wielka prawda, panie radco.

Bernik. Przedewszystkiem jednak posiąść musimy pewność — bezwzględna, przedtem ani słówka.

Krapp. Tak, ani słówka, a pewność mieć pan będzie.

Wychodzi przez ogród na ulicę.

Bernik półgłosem. Oburzające! nie, to być nie może... nie do uwierzenia. Chce iść do swego pokoju, gdy z prawej strony wchodzi Hilmar.

Hilmar. Dzień dobry, Berniku! Winszuję ci wczorajszego zwycięstwa w stowarzyszeniu kupieckiem.

Bernik. Dziękuję.

Hilmar. Było to świetne zwycięstwo, jak słyszałem. Zwycięstwo światłego poczucia obywatelskiego nad samolubstwem i przesądem, coś w rodzaju zwycięstwa francuskiej Razzi nad Kabyłami.*) Dziwna rzecz, że mimo to całe nieprzyjemne zajście, które się tu wczoraj rozegrało...

Bernik. No, no, zostaw to...

Hilmar. Pozostaje jednak jeszcze stoczenie walnej bitwy.

Bernik. W sprawie kolei?

Hilmar. Tak; wiesz zapewne, co przeciw wam knuje redaktor Hammer?

Bernik zaintrygowany. Nie! Cóż to?

Hilmar. Korzystając z obiegających pogłosek, zamierza wystosować artykuł.

Bernik. Jakich pogłosek?

Hilmar. O tych wielkich zakupach ról w okolicy zamierzonyj linii kolejowej.

Bernik. Co ty mówisz? Czy rzeczywiście rozeszły się takie pogłoski?

Hilmar. Całe miasto o tem mówi. Słyszałem właśnie w klubie. Jeden z tutejszych adwokatów miał potajemnie zakupić wszystkie lasy, kopalnie, wodospady i t. d.

Bernik. Czy nie mówią dla kogo?

*) Razzia, wyraz arabskiego pochodzenia, oznacza „wyprawę wojskową“ przeciw Kabyłom, szczepowi berberyjskiemu, zamieszkującemu rozległe przestrzenie w Algierze i Tunisie. (Przyp. tłum.)

Hilmar. W klubie domyślano się, że to zapewne dla akcyonaryuszów zagranicznych, którzy dowiedziawszy się o twoich zamiarach, spieszą z zakupnem, zanim ceny pójdą w górę... Jak to nikczemnie?!

Bernik. Nikczemnie?

Hilmar. Oczywiście, sprawadzać w ten sposób tu obce żywioly. A w dodatku zajął się tem jeszcze adwokat z naszego miasta! Obcych wzbogacać naszym kosztem!

Bernik. Ależ to tylko pogłoska...

Hilmar. Która jednak znajduje wiarę i dziś lub jutro przez redaktora Hammera zostanie przedstawiona jako rzecz pewna. Jest ogólne rozgoryczenie i sam słyszałem, jak niektórzy zapewniali, że, gdyby się pogłoska sprawdziła, cofną swój udział.

Bernik. Niepoćob eństwo!

Hilmar. Tak? Dlaczegoż, sądzisz, ci kramarze z taką gotowością popierali cię w tem przedsięwzięciu? Zapewniam cię, że się już z góry oblizywali w nadziei...

Bernik. Niepodobieństwo, powtarzam! Na tyle poczucia obywatelskiego można chyba liczyć w naszym małym społeczeństwie...

Hilmar. Tutaj?! Jesteś optymistą i byłeś nim, sądząc wszystkich według siebie. Ale ja, co mam dość wycwiczony zmysł spostrzegawczy, powiadam ci, że niema tu — pominąwszy oczywiście nas — jednego człowieka, któryby dźwigał wysoko sztandar ducha. Idzie w głąb sceny. O, o, otóż znowu oni!

Bernik. Kto?

Hilmar. Ci dwoje z Ameryki. Spogląda na prawo. Któż tam jest z nimi? Tak, na Boga, to kapitan »Gazeli«! O, o!

Bernik. Co oni mogą mieć z nim wspólnego?

Hilmar. Ach, to właśnie towarzystwo dla nich. On miał prowadzić handel niewolnikami, czy być kor-

sarzem, a kto wie, czem oni się trudnili przez te lata.

Bernik. Powtarzam ci, że jesteś niesprawiedliwym, mówiąc o nich w ten sposób.

Hilmar. Znowu optymizm! Masz ich teraz znowu na karku; muszę uciekać, póki czas...

Idzie ku drzwiom na lewo. Panna Hessel wchodzi z prawej strony.

Panna Hessel. Cóż to, Hilmarze, czy to ja jestem powodem twej ucieczki?

Hilmar. Bynajmniej... spieszę się... muszę się zoba-
czyć z Betty. Wychodzi drzwiami w głębi na lewo.

Panna Hessel. No, cóż...

Bernik. Jakiż masz dzisiaj o mnie sąd?

Panna Hessel. Ten sam, co wczoraj. Jedno kłamstwo więcej, nie czyni wielkiej różnicy.

Bernik. Musisz to wszystko raz zrozumieć. Gdzie Jan?

Panna Hessel. Wnet nadejdzie; rozmawia z jakimś panem.

Bernik. Po tem, coś wczoraj słyszała, pojmiesz, że całe moje stanowisko jest zagrożone, gdyby prawda wyszła na jaw.

Panna Hessel. Pojmuję to.

Bernik. Jest rzeczą samą przez się zrozumiałą, że nie popełniłem przestępstwa, o którym krążyła pogłoska.

Panna Hessel. Nie przeczę, któż jednak był złodziejem?

Bernik. Złodzieja nie było wcale. Pieniądzy nikt nie ukradł, nie brakło jednego grosza.

Panna Hessel. Jakże?

Bernik. Jednego grosza, powtarzam.

Panna Hessel. Skądże ta pogłoska, ta hańbiąca pogłoska, że Jan...

Bernik. Lono, sądzę, że z tobą mogę mówić jak z nikim innym. Wszystko ci wyjawię. Pogłoska ta rozpowszechniła się po części za moją sprawą.

Panna Hessel. Ty? I mogłeś tak postąpić wobec tego, który dla ciebie...

Bernik. Nie wydawał wyroku, zanim się dowiesz, jak wówczas rzeczy stały. Mówiliśmy przecie o tem wczoraj. Gdym powrócił do domu, zastałem matkę uwikłaną w cały szereg nierozsądnych przedsięwzięć, w dodatku przesładowane na każdym kroku niepowodzenie, słowem, klęska za klęską... byliśmy bliżcy ruiny. Ja byłem po części lekkomyślny i po części zrozpaczony.

Panna Hessel. Hm...

Bernik. Że te wszystkie pogłoski rozpowszechniły się, gdy ty i Jan byliście już daleko, jest rzeczą łatwą do zrozumienia. To nie pierwszy jego lekkomyślny wybryk, twierdzili jedni. Dorff wymógł na nim wielką kwotę pieniężną za swe milczenie i wyjazd, powtarzali drudzy. Równocześnie zaś okazało się, że dom nasz bez trudu nie może dotrzymać swych zobowiązań. Cóż więc dziwnego, że zawodowi plockarze obydwu wypadki skojarzyli. Gdy widziano, że ona pozostawszy tu, dogorywa w nędzy, robiono domysły, że on z pieniędzmi, których sumę z każdym dniem podwajano, uknął do Ameryki.

Panna Hessel. A ty, Ryszardzi?

Bernik. Pogłoska ta była dla mnie deską zbawienia.

Panna Hessel. I przez rozpowszechnianie jej?

Bernik. Nie zwalczałem jej. Wierzyście stawali się coraz natarczywsi; mi; musiano ich zaspokoić; niezbędnem było usunięcie najmniejszej wątpliwości co do stanu rzeczy; to mogło być chwilowem... niepowodzeniem i... gdyby nam zostawiono czas, mógłby każdy swoją należność odebrać...

Panna Hessel. I każdy też swoje odebrał?

Bernik. Tak, Lono, ta pogłoska nas ocaliła i wniosła mnie na ten szczyt, na którym dziś stoję.

Panna Hessel. Kłamstwo więc wyniosło cię na szczyt, na którym dziś stoisz...

Bernik. Komuż ono wówczas szkodziło? Jan miał zamiar nigdy do kraju nie wracać.

Panna Hessel. Pytasz: komu szkodziło? Spojrz w samego siebie i powiedz, czyś żadnej nie poniosł szkody!

Bernik. Zbadaj duszę każdego człowieka — a wszędzie znajdziesz jedną choćby plamkę, która zatajona być musi!

Panna Hessel. A nazywacie się podporami społeczeństwa!

Bernik. Ono lepszych od nas nie posiada.

Panna Hessel. I jakąż korzyść z tego, że społeczeństwo takie posiada podpory? Co w niem jest miarodajnem? Obłuda i kłamstwo — nadto nic. Wszakże ty, pierwszy obywatel miasta, cieszący się szczęściem, dostatkiem, wpływami, zaszczytami... ty splamilesz czoło niewinnego człowieka piętnem przestępstwa!

Bernik. Czy sądzisz, że nie czuję krzywdy w całej pełni, jaką mu wyrządziłem? Sądzisz, że nie jestem gotów jej w zupełności wynagrodzić?

Panna Hessel. Jakim sposobem? Czy jawnem wyznaniem?

Bernik. I tybys tego żądała?

Panna Hessel. Cóż innego może nagrodzić taką niesprawiedliwość?

Bernik. Jestem bogaty, Lono; Jan może zażądać...

Panna Hessel. Spróbuj tylko ofiarować mu nagrodę pieniężną, zobaczysz, co ci odpowie.

Bernik. Czy znasz jego zamiary?

Panna Hessel. Nic. Od wczoraj zamknął się w sobie. To całe zajście, jak mi się zdaje, uczyniło go naraz dojrzałym człowiekiem.

Bernik. Muszę z nim pomówić.

Panna Hessel. Otóż i on.

Jan wchodzi z prawej strony.

Bernik idąc na jego spotkanie. Janie!

Jan cofając się. Teraz na mnie kolej. Wczoraj dałem ci słowo, że milczeć będę.

Bernik. I dotrzymałeś go.

Jan. Nie wiedziałem wtedy jeszcze wszystkiego...

Bernik. Pozwól sobie kilku słowy rzecz całą wyjaśnić...

Jan. To zbyt cenne. Zgaduję, co mi powiesz. Interesa wasze były zagrożone, a po mojem oddaleniu się, mogłeś dowolnie rozporządzić moją dobrą sławą... Nie będę ci tu czynił wyrzutów — byliśmy obaj młodzi i lekkomyślni. Teraz jednak prawda musi wyjść na jaw: musisz sam ją odkryć.

Bernik. Teraz, kiedy mi jest niezbędny cały mój moralny wpływ? Tego uczynić nie mogę.

Jan. Na tych plotkach, któreś puścił między ludzi, nie wiele mi zależy; chodzi tylko o tę sprawę drugą, tę winę musisz przyjąć na siebie. Dina ma zostać moją żoną i tu, w tem mieście zamieszkamy.

Panna Hessel. Tu?

Bernik. Z Diną? Ożenić się z Diną, tu, w naszym mieście!

Jan. Bezwarunkowo tu. Chcę tu pozostać na przekór tym wszystkim plotkom i oszczerstwom. Ale aby jej rękę pozyskać, muszę koniecznie odzyskać dobre imię.

Bernik. Czyś pomyślał, że biorąc na siebie jedną winę, przyznając się tem samem do drugiej? Powiesz może, że mogę na podstawie ksiąg naszych udowodnić, iż nie było tu żadnego sprzeniewierzenia? Otóż tem się wykazać nie mogę, bo księgi były wówczas bardzo niedbale prowadzone. A gdyby nawet było inaczej, nie wielkąbym z tego miał korzyść. Uważałyby mnie za człowieka, który ocaliłszy się raz za

pomocą kłamstwa, nosił je w sobie przez lat piętnaście, nie przyznając się do tego wcale. Gdybyś społeczeństwo nasze znał, tobyś wiedział, że takie wyznanie zgubiłoby mię niepowrotnie.

Jan. Odpowiem ci tylko, że chcę poślubić córkę pani Dorff i z nią w tem mieście zamieszkać.

Bernik ocierając pot z czoła. Posłuchajcie mię, Janie, i ty, Lono. Stosunki moje w ostatnich dniach ukształtowały się niezwykłe... do tego stopnia, że gdyby ten cios we mnie teraz ugodził, zdruzgotałby mię niechybnie... a to nietylko mnie, ale także wielką, wspinałą przyszłość społeczeństwa, do którego z urodzenia przecie należycie...

Jan. Jeśli ciosu tego ci nie zadam, to zniweczę całe moje własne szczęście.

Panna Hessel. Cóż dalej, Berniku?

Bernik. Słuchajcie więc. Idzie o tę kolej, a sprawa ta nie jest tak łatwą, jakby się zdawać mogło. Słyszeliście zapewne, że przeszłego roku krzątano się około założenia linii nadbrzeżnej. Zamiar ten znalazł wielu zwolenników zarówno w mieście jak i w okolicy, szczególnie w prasie; zamiary te jednak za moją sprawą zostały pokrzyżowane, kolej ta bowiem wyrządziłaby znaczne szkody naszej żegludze nadbrzeżnej.

Panna Hessel. I zapewne tobie?

Bernik. Tak. Nikt jednak nie śmiał mnie o to pąsądzić; na straży mojej dobrej sławy stał powszechny szacunek. Jąbym wreszcie mógł ponieść tę stratę, ale dla miasta byłaby ona niepowetowaną. Postanowiono więc budowę kolei wewnątrz kraju. Wówczas zapewniłem się potajemnie, czy odnoga jej dałaby się doprowadzić do naszego miasta.

Panna Hessel. Dlaczego »potajemnie«, Berniku?

Bernik. Słyszeliście o wielkich zakupach lasów, kopalni i wodospadów?

Jan. Tak, na rzecz przedsiębiorców zagranicznych.

Bernik. W okolicznościach zwykłych posiadłości te małą posiadają wartość, dlatego też zakupiono je stosunkowo tanio. Gdyby jednak czekano, aż się wieść o odnodze kolejowej rozejdzie, zażądano by za to wszystko cen niebywałych.

Panna Hessel. Tak, tak, ale cóż...

Bernik. Teraz zwierzę się przed wami z rzeczy, która rozmaicie może być tłumaczoną, a na którą też sobie mógł pozwolić tylko człowiek, na którego imieniu najdrobniejszy nawet cień nie spoczął.

Panna Hessel. Więc cóż?

Bernik. Ja zakupiłem to wszystko.

Panna Hessel. Ty?

Jan. Dla siebie?

Bernik. Dla siebie. Jeśli wybudowanie odnogi przyjdzie do skutku, jestem milionerem, w przeciwnym razie — nędzarzem.

Panna Hessel. To wielkie ryzyko, mój drogi.

Bernik. Cały mój majątek leży na szali.

Panna Hessel. Nie o majątek mi chodzi, ale gdy się to wyda...

Bernik. Od tego właśnie los mój zawisł. Z nieskazitelnym mem imieniem, mogę rzecz całą wziąć na swe barki, stanąć przed współobywatelami i rzec: Patrzcie, na com się odważył dla dobra społeczeństwa.

Panna Hessel. Społeczeństwa?

Bernik. Tak — i nikt nie będzie śmiał wątpić o moich dobrych zamiarach.

Panna Hessel. Znaleźliby się jednak tu jeszcze ludzie, którzyby jawniej działali, jak ty — bez wstecznych myśli i względów ubocznych.

Bernik. Którzyż to?

Panna Hessel. Choćby Rummel, Altstedt, Wiege-land...

Bernik. Aby ich sobie pozyskać, musiałem ich przypuścić do udziału.

Panna Hessel. I cóż?

Bernik. Wymówili sobie piątą część zysku do udziału między siebie.

Panna Hessel. O! te podpory społeczeństwa!

Bernik. Czyż to nie samo społeczeństwo zmusza nas do szukania dróg krętych? Jakizby był wynik, gdybym nie był działał w tajemnicy? Wszyscy by się na wyścigi rzucili na to przedsiębiorstwo, poszarpałoby je, rozdrobnili, skoszlawili i na zawsze zaprzepaścili. W całym mieście niema człowieka, prócz mnie, któryby był zdolnym do pokierowania tak ogromnego przedsiębiorstwa. W tym kraju tylko przybysze mają dar prowadzenia interesów na większą skalę. Ta właśnie okoliczność rozgrzesza mię przed sumieniem. W moich jedynie rękach mogą te posiadłości stać się trwałą błogosławieństwem dla owych tysięcy, którym chleb zapewnię.

Panna Hessel. Może masz i słusność.

Jan. Ja tych tysięcy nie znam, a tu wchodzi w grę szczęście mojego życia.

Bernik. Wchodzi także w grę dobrobyt twego rodzinnego miasta. Skoro wyjdą na jaw okoliczności, które na moją przeszłość cień rzucają, rzucą się na mnie zjednoczonymi siłami wszyscy moi przeciwnicy. Społeczeństwo nasze nie chce wiedzieć, co to są grzechy młodości. Całe moje dotychczasowe życie stanie się przedmiotem roztrząsań, tysiące nic nie znaczących okoliczności, dowolnie tłumaczone i omawiane, zamieniają się w pociski przeciw mnie — gdyby się o wszystkim dowiedziano. Bezmiar plotek i oszczerstw zmiądzżyłby mię niewątpliwie. Musiałbym się cofnąć od przedsiębiorstw kolejowych, a gdy się cofnę, upadek ich jest niechybny. Wraz z nimi runę i ja, potępiony przez wszystkich,

Panna Hessel. Janie, po tem coś słyszał, musisz wyjechać i milczeć.

Bernik. Tak, Janie, musisz to uczynić.

Jan. Dobrze, wyjadę i będę milczał, ale powrócę i wówczas głos zabiorę.

Bernik. Pozostań tam, Janie, a ja chętnie podzielę się z tobą..

Jan. Zatrzymaj pieniądze sobie, mnie wróc moje dobre imię.

Bernik. Poświęcając własne?!

Jan. To sprawa twoja i społeczeństwa twego. Chce i muszę pozyskać rękę Diny. Dlatego jutro odpływam na »Gazeli«...

Bernik z żywością. Na »Gazeli«?

Jan. Tak. Kapitan obiecał mi na niej miejsce. Odjeżdżam więc, sprzedam swoją farmę, a za dwa miesiące będę tu znowu.

Bernik. Aby głos zabrać?

Jan. Aby odkryć właściwego winowajcę.

Bernik. Zapominasz, że wówczas spadnie na mnie także odpowiedzialność za winy niepopelnione.

Jan. Któż wyzyskał przed laty piętnastu te haniebne pogłoski?

Bernik. Doprowadzasz mię do rozpacz! Gdy przemówisz przeciw mnie, zaprzeczę wszystkiemu! Powiem, że to spisek przeciw mnie!... zemsta nikczemna!... powiem, żeś powrócił, aby wyłudzić ode mnie pieniądze.

Panna Hessel. Wstyd, Ryszardzie!

Bernik. Doprowadzacie mię do ostateczności, a w walce, w której chodzi o mój byt, nie będę się oglądał na środki: wszystkiemu — bez wyjątku, zaprzeczę.

Jan. Na ten wypadek mam twoje dwa listy. Są w moim kufrze między innymi papierami. Odczytałem je ponownie dziś rano, przemawiają aż nadto wyraźnie.

Bernik. I ty chcesz ich użyć?..

Jan. Jeśli zajdzie potrzeba.

Bernik. Więc za dwa miesiące wracasz?

Jan. Mam nadzieję. Wiatr pomyslny, za trzy tygodnie stanę w New-Jorku, jeśli »Gazela« nie zatonie.

Bernik uderzony. Zatonie? Dlaczegożby »Gazela« miała zatonać?

Jan. I ja tak sądzę.

Bernik głosem ledwie dosłyszalnym. Zatonąć?

Jan. Wiesz już tedy, Berniku, o co mi idzie. Urządź się stosownie i żegnaj. Pozdrów ode mnie Betty, jakkolwiek nie przyjęła mnie jak siostra. Z Martą chciałbym się tylko zobaczyć. Niech powie Dinie... niech mnie przed nią wychwala...

Oddala się drzwiami w głębi na lewo.

Bernik do siebie. »Gazela«? Gwałtownie. Lono, ty do tego nie dopuścisz!

Panna Hessel. Widziałeś przecie, Ryszardzie, że wpływ mój tu był bezowocny.

Idzie za Janem do pokoju na lewo.

Bernik miotany niepokojem. Zatonie?..

Auler wchodzi z prawej strony.

Auler. Przepraszam, panie radco, może przychodzę nie w porę?

Bernik zwracając się ku niemu gwałtownie. Czego pan chcesz?

Auler. Chciałbym o coś zapytać, panie radco.

Bernik. Proszę, byle prędko. O co panu chodzi?

Auler. Chciałbym się dowiedzieć, czy postanowienie wydalenia mnie na wypadek, gdyby »Gazela« jutro odbić nie mogła, jest niezmiennie.

Bernik. Do czegoż pan zmierza? Wszak obawa tego nie zachodzi.

Auler. To prawda. Gdyby jednak okręt nie mógł wypłynąć, czy byłbym wydalony?

Bernik. Na coż te próżne pytania?

Auler. Chciałbym mieć pewność pod tym względem, panie radco. Proszę mi tedy odpowiedzieć: czy byłbym wydalony?

Bernik. Nie zwykłem cofać swych postanowień.

Auler. Mógłbym więc jutro utracić stanowisko, jakie piastuję w domu i pośród mego najbliższego otoczenia — miałbym utracić swój wpływ na rzesze robotnicze i zarazem sposobność oddziaływania na tych upośledzonych, zajmujących najniższą warstwę w społeczeństwie!...

Bernik. Aulerze...

Auler. Dobrze tedy, »Gazela« wypłynię.

Ciwilowe miłczenie.

Bernik. Słuchaj pan, ja osobiście wszystkiego dojeżdżać nie mogę, nie mogę brać za wszystko odpowiedzialności — dlatego żądam twego zapewnienia, że naprawy dokonano bez zarzutu.

Auler. W tak krótkim przeciągu czasu...

Bernik. Pytam o naprawę; czy nic się tam zarzucić nie da?

Auler. Pogoda sprzyja... lato w całej pełni, więc...

Ponowne miłczenie.

Bernik. Masz pan co więcej do powiedzenia?

Auler. Nic więcej, panie radco.

Bernik. Więc »Gazela«... rozpuści żagle...

Auler. Jutro?

Bernik. Tak.

Auler. Więc dobrze.

Sklada ukłon i odchodzi. Bernik stoi chwilę niepewny; potem szybko idzie ku drzwiom, jakby w zamiarze zatrzymania Aulera, zostaje jednak z ręką na klamce pełen niepokoju. W tejże chwili otwiera drzwi z drugiej strony Krapp.

Krapp półgłosem. Był tu; czy co wyznał?

Bernik. Hm... Co pan odkrył?

Krapp. Czegoż więcej potrzeba? Widać mu z oczu wyrzuty sumienia.

Bernik. Cóż znowu... tego widzieć nie można. Czyś pan co odkrył, czy nie?

Krapp. Nie mogłem się tam dostać, było za późno, robiono już przygotowania, aby okręt spuścić na morze i właśnie ten pośpiech dowodzi, że...

Bernik. Nie dowodzi niczego. Okręt został poddanym rewizyi?

Krapp. Oczywiście, jednakże...

Bernik. Widzi więc pan. Zarzutów zapewne żadnych nie podnoszono?

Krapp. Pan radca wie chyba dość dobrze, jak się odbywają podobne rewizyje, zwłaszcza w warsztatach tej miary i sławy, co nasze.

Bernik. To obojętne. Za następstwa dalsze nie odpowiadamy.

Krapp. Panie radco, czy pan istotnie nie poznał po Aulerze, że...

Bernik. Powtarzam panu, że mnie Auler zupełnie zaspokoił.

Krapp. A ja mimo to jestem przekonany, że...

Bernik. Cóż to znowu, panie Krapp?... Mogę pana tylko posadzić, że czynisz to z nienawiści ku Aulerowi, ale jeśli chcesz przeciw niemu wystąpić, to szukaj innej przyczyny. Wiesz pan, ile mnie, a raczej właścicielom na tem zależy, aby »Gazela« jutro mogła odbić.

Krapp. Dobrze, dobrze... tak się stanie... ale czy my kiedy już ten okręt zobaczymy...

Wiegeland wchodzi z prawej strony.

Wiegeland. Sługa uniżony pana radcy. Czy mogę prosić o chwilę rozmowy?

Bernik. Jestem na usługi.

Wiegeland. Chciałem tylko tylko zapytać, czy i pan jest za tem, aby »Palma« jutro odplynęła?

Bernik. Oczywiście; to rzecz postanowiona.

Wiegeland. Tak, ale właśnie mówił mi kapitan, że zanosi się na burzę morską...

Krapp. Od rana barometr gwałtownie spada.

Bernik. Czy tak? Więc można się rzeczywiście spodziewać burzy?

Wiegeland. Powtarzam, co mi powiedział kapitan: »Palma« i jej los spoczywają w ręku Opatrzności. Zresztą żeglować będzie po Morzu Północnem, a w Anglii cła przewozowe tak podskoczyły w górę, że...

Bernik. Na zwłoce ponieśliśmy prawdopodobnie znaczne straty.

Wiegeland. Statek jest silnej budowy i przytem zupełnie zabezpieczony. Więszem jest natomiast niebezpieczeństwo dla »Gazeli«.

Bernik. Co pan chce przez to powiedzieć?

Wiegeland. Oną przecie także jutro wypływa...

Bernik. Właściciele nalegali, a przytem...

Wiegeland. Skoro się na morze puszcza takie stare pudło i w dodatku z taką załogą, byłby to istotnie wstyd dla nas, gdybyśmy...

Bernik. Mniejsza już o to. Masz pan zapewne przy sobie papiery okrętowe?

Wiegeland. Oto są.

Bernik. Zechce je pan załatwić z panem Krappem.

Krapp. Proszę! Wnet to ukończymy.

Wiegeland. Bardzo chętnie. — Dalsze losy »Palmy« poruczymy Najwyższemu.

Wychodzi z Krappem pierwszemi drzwiami na lewo. Przez ogród wchodzi Rohrland.

Rohrland. O tej porze pan radca w domu?

Bernik. zamyślony. Jak pan widzi.

Rohrland. Właściwie mówiąc, przychodzę do pani radczyni. Sądzę, że nie odrzuci kilku słów pociechy.

Bernik. Być może. Ale i jaby z panem pomówił...

Rohrland. Z przyjemnością, panie radco. O cóż chodzi? Jesteś pan tak blady i znękany.

Bernik. Ja? Czyż tak wyglądam? Jakżeby inaczej być mogło przy tem wszystkim, co na mnie teraz spada. Moje rozgałęzione interesa... i ta sprawa kolejowa... Pozwoli pan sobie zadać jedno pytanie?

Rohrland. Z największą ochotą, panie radco.

Bernik. Oto, co mi na myśl przyszło... Kiedy kto stoi na czele ogromnego przedsiębiorstwa... przedsiębiorstwa, od którego zawisł dobrobyt tysięcy ludzi... gdyby jednak ono wymagało jednej, jedynej ofiary?...

Rohrland. Jak to pan rozumie?

Bernik. Weźmy przykład. Ktoś zakłada wielką fabrykę, mając przytem pewność — długoletniemi doświadczeniem zdobytą — że prędzej lub później z powodu tej fabryki... pewna ilość ludzi zmrze...

Rohrland. Tak, to rzecz prawdopodobna...

Bernik. Lub też ktoś obiera sobie przemysł górniczy. Powołuje na swe usługi ojców rodzin, tudzież ludzi młodych, życia żądnych. Z góry już da się przewidzieć, że nie wszyscy oni z kopalni powrócą...

Rohrland. To — niestety — prawda.

Bernik. Dobrze tedy. Człowiek taki wie więc już z góry, że przedsiębiorstwo, którego się jał, niejednego pozbawi życia. Przedsiębiorstwo to jednak ma przynieść korzyść powszechną, a każde życie ludzkie ma okupić dobrobyt setek i tysięcy.

Rohrland. Pan radca ma na myśli kolej i te niebezpieczeństwa, jakie się następują przy jej budowie...

Bernik. Tak, właśnie o kolej mi chodzi... A przytem kolej powoła do życia liczne fabryki, ożywi przemysł górniczy. Czy więc pan sądzi...

Rohrland. Kochany panie radco, jesteś sumienny — do zbytku. Mam nadzieję, że jeśli pan swe wszystkie przedsięwzięcia poruczysz Opatrzności...

Bernik. Tak... tak właśnie... Opatrzności...

Rohrland. ...To możesz działać z czystym sumieniem i możesz śmiało przystąpić do budowy swej kolei.

Bernik. Dobrze, ale jeszcze jeden wypadek weźmy pod uwagę — wypadek poszczególny. Przypuśćmy, że w miejscu niebezpiecznym założono minę i że bez rozsądzenia skały kolej nie może przyjść do skutku. Przypuśćmy, że inżynier jest pewnym, iż robotnik, co tego dokona, zginie, a mimo to jednak dokonać się to musi i obowiązkiem inżyniera jest wyznaczyć do tego robotnika...

Rohrland. Hm...

Bernik. Zgaduję, co mi pan powie. Byłby to wielki czyn, gdyby inżynier sam wziął lont i minę podpałił. Ale tak się nie dzieje; robotnik musi być ofiarą.

Rohrland. U nasby inżynier tego nie uczynił.

Bernik. Gdzieindziej, w kraju wielkim, inżynierby nawet nie pomyślał, że ma być inaczej.

Rohrland. W kraju wielkim? Tak, wierzę. W owych zwyrodniałych, niesumiennych społeczeństwach...

Bernik. I one mają swoje dobre strony!

Rohrland. To mówisz pan, który zawsze...

Bernik. W wielkich społeczeństwach nigdy nie zabraknie sposobności do stworzenia czegoś użytecznego, wielkiego... tam mają ludzie odwagę poświęcać wszystko dla rzeczy wielkich... podczas gdy tu na każdym kroku nas jakies względny małostkowe, nic nie znaczące wątpliwości krępują...

Rohrland. Czy życie ludzkie nazywasz pan względem małostkowym?

Bernik. Jeśli ono stoi na przeszkodzie dobru tysiąca innych...

Rohrland. Ależ pan przytaczasz wypadki niemożliwe, panie radco! Nie rozumiem pana dzisiaj. Powołujesz się na wielkie społeczeństwa. Czem jest u nich życie jednostki? Tam obchodzą się z niem, jak z kapitałem. My natomiast kierujemy się według zupełnie innych zasad moralnych. Weź pan pod uwagę naszych przedsiębiorców okrętowych! Czy znajdzie się między nimi jeden, któryby dla marnego zysku naraził życie ludzkie! A teraz porównaj pan z nimi tych, tych lotrów zagranicznych, którzy dla korzyści wysyłają na morze jedne po drugich, statki, do żeglugi niezdadne...

Bernik. O statkach do żeglugi niezdatnych nie mówię!

Rohrland. Ale ja o nich mówię, panie radco.

Bernik. A pocóż?... To z naszą sprawą nie ma nic wspólnego. — Ach, te małe, niedorzeczne względy! U nas, gdyby dowódca poprowadził swych żołnierzy w ogień i zobaczył ich trupy, miałby potem nocę bezsenne. Gdzieindziej inaczej rzecz się ma. Niech pan tylko posłucha, co ten... stamtąd przybyły opowiada...

Rohrland. Kto?... On?... Ten Amerykanin?...

Bernik. Tak. Niechno pan posłucha, jak tam w Ameryce...

Rohrland. Więc on tu jeszcze?... I pan mię nie uprzedził! Chcę natychmiast go...

Bernik. Wątpię, czy się panu uda; nie zastaniesz go już.

Rohrland. Zobaczymy... Ha, otóż i on.

Jan Tennesen wychodzi z pokoju na lewo.

Jan mówi do kogoś będącego w pokoju. Tak, Dino, to ułożone; nie porzucę cię. Powracam wkrótce, a wówczas nic nam nie stanie na przeszkodzie...

Rohrland. Przepraszam, co te słowa mają znaczyć? Czego pan żąda?

Jan. Zamierzam poślubić tę młodą panienkę, w której oczach mię wczoraj tak szpetnie oczerniłeś.

Rohrland. Co?! Pan śmie żywić nadzieję, że...

Jan. ...Ze ona zostanie moją żoną.

Rohrland. No to się państwo dowiedzą. Pochodzi ku drzwiom na pół otwartym. Pani Bernik, zechce pani łaskawie być świadkiem i pani również, panno Marto... proszę także przywołać Dinę. Spozręga pannę Hessel. Ach i pani tu?

Panna Hessel. Czy i mnie się tyczy wezwanie?

Rohrland. I owszem. Im więcej osób będzie, tem lepiej.

Bernik. Cóż to wszystko ma znaczyć?

Panna Hessel, pani Bernik, Dina, panna Bernik i Hilmar Tennesen wchodzi.

Pani Bernik. Panie wikary, mimo najlepsze chęci nie mogłam go powstrzymać...

Rohrland. Ja go powstrzymam... Dino, jesteś pani bardzo nierozsądną, ale nie myślę pani robić zbyt wielu wyrzutów. Długi czas brakło ci moralnej podpory, która ci jest niezbędną. Ganię samego siebie, żem ci jej dotychczas nie użytył...

Dina. Niech pan dalej nie mówi!

Panna Bernik. Do czegoż to wszystko zmierza?

Rohrland. Właśnie teraz muszę i chcę głos zabrać, jakkolwiek wczorajsze i dzisiejsze zachowanie pani tylko mię odstręczało. Względ jednak na dobro pani wszystko inne przeważa... Pamiętasz pani obietnicę moją? Pamiętasz także, jaką mi przyrzekłaś odpowiedź w owej chwili, gdy ponowię moją prośbę. Obecnie już zwlekać nie myślę i dlatego... zwracając się do Jana ta młoda panienka, o której względy pan się dobija — jest moją narzeczoną!

Pani Bernik. Co pan mówi!

Bernik. Dina!

Jan. Ona?... pańska?...

Panna Bernik. Nie, nie, Dina!

Panna Hessel. Kłamstwo!

Jan. Dino, czy on mówi prawdę?

Dina po chwili wahania się. Tak.

Rohrland. Więc droga do błudnych umizgów raz na zawsze zamknięta. Krok, który czynię dla dobra pani, będzie obwieszczonym wszystkim warstwom naszego społeczeństwa. Jestem przekonany, że spotka się z należytym uznaniem... Sądzę jednak, pani Bernik, że teraz najodpowiedniej będzie ją stąd oddalić i starać się o przywrócenie jej równowagi i spokoju.

Pani Bernik. Tak, słusznie. Chodź, Dino. Co to za szczęście dla ciebie!

Wychodzi na lewo z Diną, Rohrland idzie za niemi.

Panna Bernik. Żegnaj, Janie. Wychodzi.

Hilmar w drzwiach od ogrodu. Hm... przyznać muszę...

Panna Hessel utkwivszy wzrok za odchodzącą Diną. Nie trać odwagi, Janie! Zostanę tu i poczekam na pastora. Wychodzi na prawo.

Bernik. Janie, teraz nie odpłyniesz na »Gazeli«.

Jan. Właśnie odpływam.

Bernik. Aby już nie powrócić?

Jan. Powrócę.

Bernik. Po tem, co tu zaszło? Po cóż powrócisz?

Jan. Aby się mścić — na was wszystkich... Zdeptać, iłu tylko będę mógł!

Wychodzi na prawo. Wiegeland i Krapp wychodzą z pokoju rady.

Wiegeland. Papiery są tedy w porządku, panie radco.

Bernik. Dobrze, dobrze...

Krapp półgłosem. Więc »Gazela« jutro stanowczo musi odplłynąć.

Bernik. Bezwarunkowo.

Udaje się do swego pokoju. Wiegeland i Krapp wychodzą na prawo. Hilmar puszcza się za nimi, ale w tej samej chwili wygląda Olaf z pokoju na lewo.

Olaf. Wuju, wuju Hilmarze!

Hilmar. Co, ty tu? Czemu nie siedzisz na górze? Ojciec ci przecie zakazał?

Olaf postępując kilka kroków naprzód. Ct! Wuju, słyszałeś o nowinie?

Hilmar. Wiem, żeś dziś dostał w skórę.

Olaf spogląda nienawistnie na pokój ojca. Nie będzie mnie on więcej bił. Czy wiesz, że wuj Jan jutro odjeżdża na tym amerykańskim statku?

Hilmar. Cóż ci na tem zależy? Ruszaj lepiej na górę!

Olaf. Ja może także kiedyś będę polował na bawoły.

Hilmar. Błażnie jakiś! Taki bachor, jak ty...

Olaf Poczekajno tylko do jutra... przekonasz się!

Hilmar. Ty kpie jakiś!

Wychodzi do ogrodu. Olaf ucieka do pokoju na lewo i zamyka drzwi na widok wracającego z prawej strony Krappa.

Krapp idzie ku drzwiom radcy i odmyka je nieco. Przepraszam, panie radco, że jeszcze raz przychodzę, ale zanosi się na gwałtowną burzę. Czas jakiś czeka na odpowiedź — bez skutku. Czy pomimo to »Gazela« ma odpłynąć?

Bernik po chwili odpowiada. Pomimo to »Gazela« odplynie.

Krapp zamyka drzwi i znowu wychodzi na prawo.

AKT IV.

Pokój ten sam.

Stół do roboty odsunięto. Powietrze burzliwe, mrok zapada, staje się coraz ciemniej. Sfużący zapala świece w wielkich lichtarzach, sfużące znoszą wazoniki, lampy, świece, kładąc wszystko na stołach i stolikach. Rummel we fraku, rękawiczkach i białym krawacie stoi w środku pokoju, wydając rozkazy.

Rummel do słuźącego. Zapalaj tylko co drugą świecę, jakóbie, aby pokój nie nabrał zbyt uroczystego wy-

glądu, to będzie przecie niespodzianka. A te wszystkie kwiaty? Niech zostaną... Mogą przecie uchodzić za zwyczajną ozdobę.

Bernik wychodzi ze swego pokoju.

Bernik we drzwiach. Co to wszystko znaczy?

Rummel. Ach! to ty!... Szkoda... Do służby. Odejdźcie na razie. Wychodzą drzwiami w głębi na lewo.

Bernik zbliżając się. Rummel, cóż to znaczy?

Rummel. To znaczy, że zbliża się dla ciebie wspaniała chwila. Miasto urzęda dziś najznakomitszemu swemu obywatelowi owacy.

Bernik. Co znowu?!

Rummel. Owacyę z muzyką. Chcieliśmy także wziąć pochodnie, tego jednak ze względu na burzliwy stan pogody skutecznicę nie będzie można. Poprzestaniemy więc na iluminacyi. Opis całej uroczystości w dziennikach, w odpowiedni sposób skreślony, dopełni całości.

Bernik. Słuchaj, ja o tem wiedzieć nie chcę.

Rummel. Za późno już; za pół godziny tu będą.

Bernik. Dlaczegoż mię nie uprzedził?

Rummel. Z obawy oporu z twej strony. Porozumiąłem się więc z żoną twoją i otrzymałem od niej pozwolenie poczynienia niejakich przygotowań; ona sama zajmie się przyjęciem.

Bernik nadstuchując. Co to? Czy już idą? Zdaje mi się, że słyszę śpiew.

Rummel w drzwiach ogrodowych. Śpiew? To ci Amerykanie spuszczaają »Gazelę« na morze.

Bernik. Spuszczają!.. Dziś nie mogę... jestem cierpiący.

Rummel. Wyglądasz istotnie niezdrowo. Staraj się panować nad sobą. Musisz to, u licha uczynić! Gdybyś ty wiedział, ile to mnie kosztowało wysiłków, Altsteda i Wiegelanda, aby uroczystość tę urządzić! Przeciwnicy nasi złożą broń wobec tego ostatniego wyrazu powszechnego hołdu. W mieście tworzą się jakies

po głoski, niepodobieństwem jest już zataić wiadomość o zakupach. Musisz bezwarunkowo dziś wieczór — wśród śpiewów i toastów, przy brzęku szkła, słowem, wśród tej całej podniecającej, gorącą przepojonej atmosfery — powstać i współobywatelom swoim przedstawić, na coś się dla ich dobro odważył. Wśród tak podniecającej atmosfery — powtarzam — można i nas dokazać rzeczy niebywałych. Nie należy tylko tracić pewności.

Bernik. Tak, tak, tak...

Rummel. Zwłaszcza jeśli chodzi o sprawę tak drażliwej i subtelnej natury, jak nasza. Przy swoim nieskazitelnem imieniu, nie masz jednak — chwała Bogu — przyczyn do jakiegokolwiek obawy; porozumieć się jednak musimy. Oto kuzyn twój Hilmar ułożył piękną pieśń na twoją cześć. Zaczyna się bardzo podniosłe od słów: »W górę wzniesmy sztandar ducha!« Wikary zaś Rohrland otrzymał upoważnienie do wygłoszenia uroczystej mowy, na którą oczywiście musisz odpowiedzieć.

Bernik. Dziś wieczór — to niepodobieństwo. Możeby ty...

Rummel. To niemożliwe — mimo najlepsze chęci. Mowa będzie bezwzględnie skierowaną do ciebie. Może i nam poświęcę słów kilka, uznaliśmy wraz z Altstedtem i Wiegelandem za stosowne, abys odpowiedział okrzykiem na cześć całego społeczeństwa; Altstedt powie słów kilka o potrzebie zgody między wszystkimi warstwami społecznymi, Wiegeland zaś wyrazi krótko konieczność, aby moralne zasady, którym wszyscy hołdujemy, nie doznały jakiegokolwiek uszczerbku z powodu mających zajść zmian, a natomiast zwrócić się do pań, które choć przy mniejszym zakresie działań, niepospolitą oddają społeczeństwu usługę. Ale ty nie słuchasz...

Bernik. Owszem, owszem. Powiedz mi, czy morze jest bardzo groźne?

Rummel. Ach, lękaś się o »Palmę«?... Jest przecie dobrze zabezpieczona.

Bernik. Zabezpieczona jest; jednakże...

Rummel. A co ważniejsze, w dobrym stanie.

Bernik. Hm... A gdyby nawet statek poniósł jakoś uszkodzenia, to jeszcze nie znaczy, że ludzie muszą zatonąć... Statek i ładunek może w ostateczności pójść na dno, można jednak wprawdzie kufrы i papiery za...

Rummel. Któż u diabła myśli o kufrach i papierach!

Bernik. Nie... nie to... o co innego mi chodzi...

Słyszysz? Śpiewają znowu...

Rummel. To załoga »Palmy«.

Wiegeland wchodzi z prawej strony.

Wiegeland. Tak, spuszcza ją właśnie »Palmę« na morze. Dzień dobry, panie radco.

Bernik. A pan, jako znający morze, ufasz stale, że...

Wiegeland. Ufam Opatrzności, panie radco. Byłem zresztą sam na pokładzie i porozdzielałem między ludzi kilka rozprawek, po których spodziewam się błogich skutków.

Altstedt i Krapp wchodzi z prawej strony.

Altstedt we drzwiach jeszcze. Skoro się to powiedzie, to i wszystko inne dobrze pójdzie... Ach! dobry wieczór, dobry wieczór!

Bernik. Był jaki wypadek, panie Krapp?

Krapp. Ja nic nie mówię, panie radco.

Altstedt. Cała załoga »Gazeli« jest spita; kpm się nazwę, jeśli to byłoby cało dopłyne do Ameryki.

Panna Hessel wchodzi z prawej strony.

Panna Hessel do Bernika. Mogę cię teraz od niego pozdrowić.

Bernik. Jest już na pokładzie?

Panna Hessel. Będzie niezadługo. Rozstaliśmy się przed hotelem.

Bernik. Trwa w swoim postanowieniu?

Panna Hessel. Niewzruszony, jak głaz.

Rummel przy oknie. Przekłete te nowomodne urządzenia. Nie mogę zasłonić okna.

Panna Hessel. Chcesz pan spuścić story? Sądziłam przeciwnie...

Rummel. Tylko chwilowo. Słyszała pani zapewne, co się gotuje?

Panna Hessel. Słyszałam. Zaraz panu pomogę. Bierze sznur. Spuszczę zasłonę dla swagry... jakkolwiek wolala ją podnieść...

Rummel. Uczynisz to pani później. Gdy tłumy mieszkalców napelnia ogrody, podniesiemy zasłony i oczom zebranych przedstawi się widok zaskoczony tym niespodziewanym hołdem rodziny... Dom obywatelski winien mieć ściany ze szkła.

Bernik chce zrobić jakąś uwagę, odwraca się jednak szybko i wychodzi do swego pokoju.

Rummel. Teraz musimy się ostatecznie naradzić... Chodź pan z nami, panie Krapp, użyczysz nam, niektórych rzeczowych wskazówek.

Panowie wchodzi do pokoju raady. Panna Hessel spuszcza zasłony okien i chce właśnie spuścić je w otwartych drzwiach ogrodowych, gdy Olaf zeskakuje z góry na schody. Ma na ramionach szal podróżny i zawiniątko w ręku.

Panna Hessel. Bój się Boga, chłopcze, jakieś mnie ty przeraził!

Olaf chowając zawiniątko. Ct, ciociu!

Panna Hessel. Czyś ty oknem wyskoczył? Dokąd to zmierzasz?

Olaf. Ct!... nic nie mów... ja do wuja Jana... pożegnam go tylko... w porcie... Dobranoc, ciociu!

Wybiega przez ogród.

Panna Hessel. Zostań! Olaf!... Olaf!

Jan wchodzi ostrożnie w podróżnym ubraniu i z przewieszoną przez ramię torebką, drzwiami na prawo.

Jan. Lono!

Panna Hessel odwracając się. Co? Znowu tu wracasz?

Jan. Mam jeszcze kilka chwil czasu. Muszę ją jeszcze zobaczyć. Nie możemy się w ten sposób rozstać.

Panna Bernik i **Dina**, obie w płaszczech, **Dina** z torbą podróżną w ręku wchodzi drzwiami po lewej stronie, w głąb.

Dina. Do niego! do niego!

Panna Bernik. Pójdiesz do niego, Dino!

Dina. Oto i on.

Jan Dino!

Dina. Zabierz mnie pan ze sobą!

Jan Jak?...

Panna Hessel. Chciałabyś?...

Dina. Weź mnie pan z sobą! Od tamtego miałam list, pisał, że dziś wieczór z wszystkimi podzieli się tą wiadomością...

Jan. Dino... nie kochasz go pani?

Dina. Nie kochałam go nigdy. Rzuciłabym się w morze, gdybym za niego wyjść miała! Ach! Jak on się wczoraj nademną pastwił swemi wspaniałomyślnymi słowami! Jak niemilosierdzie dał mi uczuć, że tak marne jak ja stworzenie podnosi do swego piedestału! Nie pozwolę się więcej znieważać! Pójdę precz stąd. Czy zabierasz mnie pan ze sobą?

Jan. Ależ tak, tak — po tysiąc razy.

Dina. Nie będę panu długo ciężarem. Niech mi pan tylko pomoże tam się dostać; z początku tylko mi nie odmawiaj pomocy...

Jan. Nie lękaj się, Dino, nie!

Panna Hessel pokazując drzwi raady. Ct! Cicho! cicho!

Jan. Na rękach cię będę nosił, Dino!

Dina. Nie pozwolę na to... Chcę stanąć o własnych siłach, tam za morzem znajdę do tego sposobność. Żeby się tylko stąd wydostać! Ach, te panie... Nie wiecie o tem... i one do mnie dziś pisały. Upominają mnie, abym umiała ocenić me szczęście, i podkreślają jego wspaniałomyślność. Dzień za dniem będą mię śledziły, aby się przekonać, czy godną

jestem tego szczęścia. Dreszcz wstrętu mną wstrząsa na to wspomnienie!

Jan. Powiedz mi Dino, czy jedynie to cię skłania do wyjazdu? Czy ja tu żadnej nie mam części?

Dina. Jesteś mi droższym niż świat cały.

Jan. O, Dino!

Dina. Wszyscy mi to powtarzają, żeś pana nienawidzić powinna, że pogarda dla pana, to mój obowiązek. Obowiązków takich ja nie uznaję i nigdy uznawać nie będę.

Panna Hessel. Nie powinnaś też, dziecko.

Panna Bernik. Tak, nie powinnaś i dlatego pójdziesz za nim, jak żona za mężem.

Jan. O, tak!

Panna Hessel. Co?... Muszę cię uściskać za to, Marto! Nie spodziewałam się tego po tobie.

Panna Bernik. Wierzę, bom się sama tego nie spodziewała. Raz jednak lody muszą być przełamane. Ach, jak nam tu dają się we znaki te ciasne nawyknięcia, te względy rzekomej obyczajności! Ty je zdepcz, Dino! Zostań jego żoną... Spoliczkuj te ich szablone względy!..

Jan. Co pani na to, Dino?

Dina. Chcę być posłuszną i zostać twoją żoną.

Jan. Dino!

Dina. Wpierw jednak pragnę spróbować własnych sił, przekonać się, ilem warta... Nie chcę być martwym przedmiotem, po który wystarczy wyciągnąć rękę.

Panna Hessel. Tak, masz słusność. Tak być powinno.

Jan. Dobrze więc; będę czekał i żywił nadzieję...

Panna Hessel....Że ją zdobędziesz. Ale teraz nastatek!

Jan. Tak, na statek! Ach! Lono, siostrzo droga, jeszcze słowko...

Prowadzi ją w głąb sceny i mówi coś szybko.

Panna Bernik. Dino! O! tyś szczęśliwa!... Niech ci się przypatrzę raz jeszcze... raz ostatni... Niech cię uściskam...

Dina. Nie ostatni raz! Nie, najdroższa, ukochana ciotko, zobaczymy się znowu!

Panna Bernik. Nigdy już! Przrzeknij mi, Dino, że nigdy nie wrócisz. Bierze jej ręce i patrzy w oczy. Tam ciebie szczęście czeka, moje dziecko... tam, za morzem. Ach, ileż to razy z izby szkolnej myśl moja z tęsknotą się wymykała! Tam musi być swobodniej... widnokrąg rozleglejszy... Chmury nie zwisają tak nisko nad głowami... powietrze tam czystsze ludzi otacza...

Dina. Ciociu, ty kiedyś tam zawitasz do nas!

Panna Bernik. Ja? Nigdy, nigdy. Tu wiąże mnie mój obowiązek.

Dina. Na zawsze się z tobą rozstać.. Nie. Tego sobie nawet wyobrazić nie mogę.

Panna Bernik. Ach, moja droga, człowiek z niejednym się rozstaje. Całuje ją. Dino, przrzeknij mi, że go szczęśliwym uczynisz.

Dina. Nie będę obiecywała; nie znoszę obietnic. Wszystko się spełni, co Bóg zarządzi.

Panna Bernik. Tak, jak Bóg zarządzi. Pozostań jaką jesteś, szczerą i otwartą wobec samej siebie.

Dina. Taką zostanie, ciociu.

Panna Hessel chowa do kieszeni kilka papierów, które jej Jan dał. Dobrze, dobrze, mój drogi. Ale teraz już nie zwlekaj!

Jan. Niema już na to czasu. Żegnaj, Lono. Dzięki ci za twą miłość. Żegnaj, Marto, i tobie dziękuję za twą wierną przyjaźń.

Panna Bernik. Żegnaj, Janie! Żegnaj, Dino! Niech was szczęście nie opuszcza!

Obie z panną Hessel cofają się ku drzewom w głąbi. Jan i Dina wychodzą szybko przez ogród. Panna Hessel zanika za nimi drzwiami i spuszcza zastonę.

Panna Hessel. Zostałyśmy więc same, Marto. Tyś utraciła ją, a ja jego.

Panna Bernik. Ty... jego?

Panna Hessel. Ach, ja go już tam prawie całkiem utraciłam. Pragnął stanąć o własnej sile i dlatego wmówiłam w niego, że tęsknię do kraju.

Panna Bernik. Dlatego? Teraz rozumiem, co cię tu przyswiodło. Ale on o tobie nie zapomni i zawezwie cię do siebie.

Panna Hessel. Starą przyrodną siostrę... co ona dla niego teraz znaczy? Mężczyźni zrywają niejedne związki, aby osiągnąć szczęście.

Panna Bernik. To prawda...

Panna Hessel. Ale my się nawzajem nie opuścimy, Marto.

Panna Bernik. Czemże mogę być dla ciebie?

Panna Hessel. Możesz być wszystkim... My przybrane matki... utraciliśmy obie nasze dzieci... Jesteśmy teraz osamotnione.

Panna Bernik. Tak, samotne. I dlatego widzę wszystko... kochałam go.

Panna Hessel. Marto! Chwyta ją za rękę. Czy to prawda?

Panna Bernik. Treść mego życia zawiera się w tych słowach: kochałam go i czekałam wytrwale... Rok rocznie spodziewałam się jego powrotu... I powrócił... aby na mnie nie spojrzeć...

Panna Hessel. Tyś go kochała? A przecie nie ważyłaś się, aby mu dać do rąk szczęście za inną.

Panna Bernik. Więc dlatego, że go kochała, nie miałam go obdarzyć szczęściem? Tak, kochałam go. Całe moje życie stało się jego własnością... od chwili jego wyjazdu. Jakie mogłam mieć powody do żywienia nadziei? Sądzę, że miałam ich nawet więcej!... Ale gdy powrócił... zdawał się o mnie zupełnie nie pamiętać... Nie widział mnie...

Panna Hessel. Dina cię przesłoniła, Marto.

Panna Bernik. I dobrze się stało. Gdy wyjeżdżał, byliśmy w jednym wieku. Gdyśmy się teraz zoba-

czyli... ach, ta chwila okropna... zrozumiałam dobrze, że się stała starszą od niego o dziesięć lat. Tam, za morzem, pławił się w złotych promieniach słonecznych i wchłaniał w siebie na każdym kroku młodość i zdrowie, gdy ja tu siedziałam przędąc a przędąc...

Panna Hessel. Nić jego szczęścia, Marto.

Panna Bernik. Nić złotą przędłam, Lono. Nie splamiłam jej goryczą! Nieprawdą, Lono, byliśmy obie dla niego dobrymi siostrami?

Panna Hessel ścisła ją. Marto!

Bernik wychodzi ze swego pokoju.

Bernik do panów, którzy tam zostali. Róbcie, jak uważacie za stosowne. Gdy pora nadejdzie, będę gotów... Zamyka drzwi. Ach! jesteście tu? Proszę cię, Marto, zmień suknię i poleć to samo Betty. Nie wymagam oczywiście strojów wyszukanych, wystarczy tylko skromna, ładna sukienka domowa, ale pospieszcie się.

Panna Hessel. Twarze też powinny mieć swój wyraz pogodny, szczęśliwy... oczy powinny błyszczeć zadowoleniem...

Bernik. Olaf niech także przyjdzie; chcę go mieć u swego boku.

Panna Hessel. Hm, Olaf...

Panna Bernik. Powiem to Betty.

Wychodzi drzwiami w głąb na lewo.

Panna Hessel. Nadeszła więc wielka, uroczysta chwila.

Bernik chodząc niespokojnie po pokoju. Nadeszła.

Panna Hessel. Taka chwila musi napawać człowieka szczęściem i dumą...

Bernik. Hm!

Panna Hessel. Miasto ma zabłysnąć tysiącem świateł — na twoją cześć.

Bernik. Zdaje się.

Panna Hessel. Wszystkie stowarzyszenia stawiają się ze swemi chorągwiami. Imię twoje zajaśnieje na transparentach. Telegraficzna wieść obiegnie kraj

cały, że radca Bernik wraz ze swoją uszczęśliwioną rodziną otrzymał, jako jedna z podpór społecznych, hołd uznania od swoich współobywateli.

Bernik. Nie skończy się na tem; będą wznosić okrzyki na moją cześć, będę musiał pokazać się tłumom, kłaniać się im i dziękować.

Panna Hessel. Ach! musiał...

Bernik. Sądzisz, że w tej chwili czuję się szczęśliwym?

Panna Hessel. Wątpię, abyś się mógł czuć zupełnie szczęśliwym.

Bernik. Lono, ty mną gardzisz.

Panna Hessel. Jeszcze nie.

Bernik. Bo też nic cię do tego nie upoważnia... do gardzenia mną. Lono, ty nie masz wyobrażenia, jak ja się czuję ogromnie samotnym wśród tego marnego, skarłałego społeczeństwa, jak ono na każdym kroku pochłaniało, krzyżowało moje siły, rwące się do stworzenia czegoś wiekopomnego, czegoś, coby mi życie całe wypełniło. Bo cóż ja dotychczas zdziałalem, choć pozory są wielkie i różnorakie? Tylko ulamki, miniatury. Cóż innego może się tu spotkać z uznaniem? Gdybym tylko jeden krok zrobił poza obręb tego, co powszechnie przyjętem zostało, wnetby się cała moc moja rozsypała w gruzy... Wiesz ty, czym jesteśmy my, co nas podporami społeczeństwa zowią? Jesteśmy tylko narzędziami jego, a nie tem, za co uchodzimy.

Panna Hessel. Dlaczego dopiero dziś to dostrzegasz?

Bernik. Bo w ostatnich dniach — od chwili twego przyjazdu — a zwłaszcza dziś wieczór wiele się nad tem zastanawiałem. — Lono, dlaczegoż nie znałem cię dawniej tak dobrze jak dziś?

Panna Hessel. Cóż dalej?

Bernik. Nie byłbym się nigdy wyrzekł twjej miłości. Gdybym ciebie był posiadał za towarzyszkę, byłbym dziś może czemś więcej, niż...

Panna Hessel. A nie myślisz o tem, czem się mogła stać dla ciebie ona, która moje miejsce zajęła.

Bernik. Wiem tylko, że nie była dla mnie tem, czego pożądałem.

Panna Hessel. Boś obowiązków swych nigdy z nią nie dzielił, bo stosunek twój do niej nigdy nie był szczerym, boś pozwałała na to, by się dręczyła wyrzutami z powodu rzekomej hańby, jaką ci przynosiłi jej krewni.

Bernik. Wszystko to poszło śladami tego kłamstwa.

Panna Hessel. Więc czemu z niem nie zrywasz?

Bernik. Teraz? Teraz już zapóźno!

Panna Hessel. Jakaż ci sprawiają przyjemność te pozory i ta obłuda?

Bernik. Żadną zgola. Chciałbym zmarnieć wraz z tem nikczemnym społeczeństwem. Ale w oczach naszych rośnie nowe pokolenie; pracę swą całą poświęcę synowi memu, jemu zostawię prawdziwe zadanie do spełnienia w życiu. Przyjdzie czas, gdy prawda wniknie we wszystkie czynniki życia społecznego, a przy jej pomocy zapewni sobie Olaf byt szczęśliwszy, niż ten, który był udziałem jego ojca.

Panna Hessel. Z piętnem odziedziczonego kłamstwa? Pomyśl, jaką mu zostawiasz spuściznę!

Bernik blizki rozpaczy. Zostawiam mu spuściznę sto-kroć gorszą, jak ty sądzisz. Ale kiedyś przecie kłamstwa musi ustąpić... Z wybuchem. Jak mogliście to wszystko zwalić na mnie! Stało się jednak. Muszę brnąć dalej, nie wolno mi ustawać. Ale zgubić mię — to wam się nie uda!

Hilmar z otwartym listem w ręku wchodzi zmieszany z prawej strony.

Hilmar. To już doprawdy... Betty, Betty!

Bernik. Co się stało? Idą już?

Hilmar. Nie, nie, tylko muszę bez zwłoki z k'mś pomówić.

Wychodzi drzwiami na lewo, w głębi.

Panna Hessel. Ryszardzie... twierdzisz, żeśmy przybyli, aby cię zgubić. Dowiedź się, z jakiego kruszcu odlany jest ten syn marnotrawny, od którego wasze całe moralne społeczeństwo stroni, jak od zapowietrzonego. Na was mało mu zależy, bo już jest stąd daleko.

Bernik. Ale on tu jeszcze wróci...

Panna Hessel. Jan nie powróci tu nigdy. Porzucił ten kraj na zawsze — a z nim Dina.

Bernik. Nie wróci nigdy? A Dina z nim?...

Panna Hessel. Tak, aby zostać jego żoną. Oboje wymierzają policzek waszemu cnotliwemu społeczeństwu... jak niegdyś ja... przeprosi...

Bernik. Popylnęli!... ona także... na »Gazeli«...

Panna Hessel. Nie; takiego skarbu bezcennego nie powierzył tej wykołejonej hołocie. Jan i Dina odpłynęli na »Palmie«.

Bernik. Ha!... więc... daremnie... Idźcie szybko ku swemu pokojowi, otwiera gwałtownie drzwi i woła. Panie Krapp, zatrzymaj pan »Gazelę«. Niech się dziś na morze nie puszcza!

Krapp za drzwiami. »Gazela« jest już na morzu, panie radco.

Bernik zamyka drzwi i mówi bezdźwięcznym głosem. Za półno... i daremnie...

Panna Hessel. Co chcesz powiedzieć?

Bernik. Nic, nic. Oddał się odemnie!

Panna Hessel. Hm... Słuchaj, Ryszardzie. Jan kazał ci powiedzieć, że mnie powierza swoje dobre imię, któregoś niegdyś nadużył i z któregoś go, gdy wyjechał, okradł. On zapewne będzie, a ja mogę w tej sprawie postąpić zupełnie dowolnie. Patrz, mam tu obydwą twoje listy.

Bernik. Masz je! A teraz... teraz chcesz... dziś wieczerz jeszcze... może podczas uroczystości...

Panna Hessel. Nie przybyłam tu, aby cię zdradzać, lecz aby na ciebie wpląnąć i skłonić cię do dobro-

wolnego wyznania. Nie powiodło mi się. Więc brnij dalej w błoto. Patrz, oto drę twoje listy, masz strzępy. Teraz nic już nie zaświadczy przeciw tobie. Teraz bądź spokojny i szczęśliwy — jeśli możesz.

Bernik wzruszony. Lono, dlaczegoś tego wcześniej nie uczyniła? Teraz już zapóźno; teraz całe moje życie poszło w niwecz... niepodobieństwem staje się dla mnie dalsze życie...

Panna Hessel. Cóż to się stało?

Bernik. Nie pytaj — a przecież... żyć muszę. Życ chcę — dla mego syna. On to wszystko okupi i nagrodzi...

Panna Hessel. Ryszardzie...

Hilmar szybko powraca.

Hilmar. Nikogo niema! I Betty niema!

Bernik. Co tobie?

Hilmar. Nie śmiem ci powiedzieć.

Bernik. Cóż takiego? Mówże!

Hilmar. A więc... Olaf uciekł na »Gazeli«.

Bernik chwiejąc się. Olaf... na »Gazeli«! Nie, nie, ty kłamiesz!

Panna Hessel. To prawda! Teraz zrozumiałam... widziałam, jak oknem wyskoczył.

Bernik woła w drzwiach swego pokoju zrozpaczony. Krapp! Za wszelką cenę zatrzymać »Gazelę«!

Krapp wychodzi z pokoju. Niepodobna, panie radco. Jak pan może przypuszczać, że...

Bernik. Musimy ją zatrzymać. Jest na niej Olaf!

Krapp. Olaf!?

Rummel wychodzi. Olaf uciekł? Niepodobieństwo!

Altstedt wychodzi. Odesłał go łódką, panie radco!

Hilmar. Nie, nie; pisał do mnie. Pokazuje list. Powiada, że ukryje się wśród ładunku, dopóki się okręt nie dostanie na pełne morze.

Bernik. Nigdy go już nie zobaczę!

Rummel. Cóż znowu; okręt silny... świeżo naprawiany...

Wiegeland który również wyszedł na scenę. ...We własnych pana warsztatach!

Bernik. Powiadam wam, że go już nigdy nie ujrzę! Straciłem go, Lono, i teraz widzę... że on nigdy moim nie był. Nadstuchuje. Co to jest!

Rummel. Muzyka! Nadchodzi pochód!

Bernik. Nie mogę teraz przyjąć nikogo!

Rummel. Co znowu? Musisz to uczynić.

Altstedt. To nieodzowne, panie radco. Pamiętaj, jakiej wagi sprawa ma się rozstrzygnąć.

Bernik. Co mnie teraz to wszystko obchodzi! Dla kogo mam nadal pracować?

Rummel. I pytasz o to jeszcze? Masz przecie nas i społeczeństwo.

Wiegeland. Wielka prawda.

Altstedt. Nie powinienes, panie radco, zapominać, że...

Panna Bernik wchodzi drzwiami na lewo. Z daleka dochodzą dźwięki muzyki.

Panna Bernik. Zbliża się pochód, a Betty niema; nie pojmuję, dokąd...

Bernik. Niema jej w domu! Widzisz, Lono, nie jest mi podpora ani w radości, ani w niedoli.

Rummel. Odsłonić story! Pomóżcie mi Krapp i pan, panie Altstedt. Nieodżałowana szkoda, że rodzina właśnie w tej chwili jest tak rozprószoną... zupełnie sprzecznie z tem, cośmy sobie ułożyli.

Za podniesieniem zasłon u okien i drzwi, widać wielki transparent z napisem: „Niech żyje radca Bernik, podpora naszego społeczeństwa!“

Bernik. Precz z tem wszystkim! Nie mogę na to patrzeć! Pogasić to, pogasić!

Rummel. Wybacz, ale czyś ty nie oszalał?

Panna Bernik. Co mu jest, Lono?

Panna Hessel. Ct! Mówi z nią półgłosem.

Bernik. Precz z tym szyderczym napisem, powtarzam! Nie widzicie, jak te płomienie wyciągają po nas swe ogniste pazury?!

Rummel. Nie, to już doprawdy...

Bernik. Ha! zrozumiałem już... tak... to wszystko, to światła w domu, w którym trup leży!

Krapp. Hm...

Rummel. Doprawdy, ty bierzesz to zanadto do serca.

Altstedt. Chiopak zrobi wycieczkę poza ocean, a potem powitamy go tu znowu.

Wiegeland. Nie trać tylko ufności w pomoc Bożą, panie radco.

Rummel. I w okręt; nie grozi mu przecie, jak sądzę, zatonięcie.

Krapp. Hm...

Rummel. Gdyby to była jedna z tych pływających trumien, jakie owe społeczeństwa...

Bernik. Czuję to... o, o!

Pani Bernik w wielkiej chustce na głowie, wchodzi drzwiami od ogrodu.

Pani Bernik. Ryszardzie, Ryszardzie, czy wiesz...

Bernik. Tak, wiem. Ale ty... tyś nigdy nie dbała... tyś nigdy dla niego nie miała oka matki!...

Pani Bernik. Stuchajże...

Bernik. Dlaczegoś nad nim nie czuwała? Teraz go straciłem! Oddaj mi go, jeśli możesz!

Pani Bernik. Właśnie, że mogę; mam go.

Bernik. Masz go?!

Wszyscy panowie. Ach!

Hilmar. No, spodziewałem się...

Panna Bernik. Odzyskałeś go, Ryszardzie!

Panna Hessel. Staraj się na niego zasłużyć...

Bernik. Masz go?... czy to prawda?... Gdzież on?...

Pani Bernik. Nie dowiesz się, zanim mu nie przebaczysz.

Bernik. Cóż mówić o przebaczeniu!... Skądżeś się dowiedziała?...

Pani Bernik. Ty myślisz, że oko matczyne wszystkiego nie odgadnie? Śmiertelna trwoga mnie ogar-

niała na myśl, że się możesz dowiedzieć. Kilka słów, które mu się wczoraj wymknęły... potem pokój opróżniony, brak torby podróźnej i rzeczy...

Bernik. No i cóż?

Pani Bernik. Pobiegłam, znalazłam Aulera, wsiedliśmy do jego żaglowej łodzi, a okręt amerykański miał właśnie rozpuścić żagle. Zdażyliśmy — dzięki Bogu — jeszcze na czas, weszliśmy na pokład; przeszkukano cały okręt — i znaleźliśmy go! — O Ry-szardzie, ty go karać nie będziesz!

Bernik. Betty!

Pani Bernik. Ani Aulera!

Bernik. Aulera? Co on?... Czy »Gazela« odplynęła?

Pani Bernik. Nie; o to właśnie...

Bernik. Mówże!

Pani Bernik. Auler był nie mniej wzruszony ode mnie; przeszkukanie statku zabrało wiele czasu; ciemność zapadała coraz bardziej, sternik robił trudności, wobec tego pozwolił sobie Auler na ten krok śmiały, aby w twojem imieniu...

Bernik. Cóż?

Pani Bernik. Zatrzymać statek do jutra.

Bernik. Co za ogrom szczęścia!

Pani Bernik. I ty się nie oburzasz?

Bernik. Co za szczęście niepojęte!

Rummel. Jesteś nadto sumienny.

Hilmar. Tak, byle jaka utarczka z żywiołami, a... o, o!
Krapp stojąc przy oknie. Oto pochód wchodzi do ogrodu!

Bernik. O, teraz przyjść może!

Rummel. Cały ogród roi się od ludzi.

Aftstedt. Ulica jest natłoczona.

Rummel. Całe miasto jest w poruszeniu, Berniku! To doprawdy szczytna chwila.

Wiegeland. Przyjmijmy ją z pokorą w sercu, panie Rummel.

Rummel. Wszystkie chorągwie powiewają!... Co za korowód!... Ach, oto i wydział z Rohrlandem na czele!

Bernik. Niechże wejdą.

Rummel. Posłuchaj, przy takim napięciu nerwów, w jakim...

Bernik. Więc cóż?

Rummel. Jestem gotów w twojem imieniu przemówić.

Bernik. Nie, dziękuję ci, dziś sam głos zabiorę.

Rummel. A wiesz, co masz mówić?

Bernik. Nie lękaj się. Teraz wiem to już dobrze.

Muzyka zamilkła. Otwierają się drzwi od ogrodu. Rohrland wchodzi na czele wydziału uroczystościowego, za nim kilku służących, niesących koszyk przykryty. Następnie wchodzi obywatele miasta wszystkich stanów, cały pokój jest natłoczony; w ogrodzie i na ulicy widać tłumy z chorągwiami i sztandarami.

Rohrland. Czcigodny panie radco! Zdumienie, jakie czytam na twej twarzy, poucza mię, że wtargnąwszy jako goście nieoczekiwani w twe szczęśliwe gniazdo rodzinne, zmąciliśmy jego spokój i otaczających cię zacnych przyjaciół i współobywateli. Ale przywiodła nas potrzeba serca, zniewalająca nas do wyrażenia ci słów uznania. Czyniliśmy to już nieraz, ale nigdy jeszcze tak dobitnie i jednogłośnie. Niejednokrotnie już poczuwaliśmy się do obowiązku złożenia ci serdecznej podziękii za te szczerze moralne zasady, jakie wszczepiasz w nasze społeczeństwo...

Głosy w tłumie i Wiegeland. Górą Bernik, niech żyje!

Rohrland. Dziś szczególniejszą cię otaczamy czcią, jako obywatela przewidującego, niemordowanego, nie myślącego o sobie, do ofiar gotowego, co pierwszy przyłożył swą rękę do przedsiębiorstwa, mającego według zgodnego orzeczenia rzeczoznawców, zgotować nową dźwignię dobrobytowi i pomyślności naszego społeczeństwa.

Głosy. Niech żyje, niech żyje!

Rohrland. Panie radco! Przez szereg lat stałeś na naszym czele, przyświecając nam swym przykładem. Nie wspominam tu o twym wzorowym poźyciu rodzinnem, ani też o twym nieskazitelnym, moralnym trybie życia — wogóle. Jest to sprawa szczerpłego grona otaczających cię, a nie nas, publicznie hołd ci składających. Ja podnoszę tu tylko twoją obywatelską działalność, której wszyscy jesteśmy świadkami. Wspaniałe okręty opuszczają twe warsztaty, rozwijając swe flagi na najdalszych morzach. Niezliczone tłumy szczęśliwych robotników błogosławia cię, jak ojca. Szczępica coraz to nowe gałęzie przemysłu, zapewniłeś dobrobyt setkom rodzin. Słowem, jesteś prawdziwym, nieodzownym filarem naszego społeczeństwa.

Głosy. Słuchajcie, słuchajcie! Brawo!

Rohrland. I właśnie ten blask bezinteresowności, znamionujący twoją tak nieskończenie dobroczynną działalność, potęguje jej znaczenie w chwili, gdy — że użyję tak poziomego wyrazu — masz nas obdarzyć koleją żelazną.

Liczne głosy. Brawo! Brawo!

Rohrland. Przedsiębiorstwo to jednak, jak się zdaje, ma do walczenia z trudnościami, nastęrczącymi się głównie z powodu małodusznych, samolubnych względów ..

Głosy. Słuchajcie, słuchajcie!

Rohrland. Powszechnie bowiem wiadomą jest rzeczą, że niektóre jednostki, nie należące do naszego społeczeństwa, zdołały ubiedz zapobiegliwych obywateli naszej miejscowości i zapewnić sobie znaczne zyski, które bez wątpienia miały przyspać naszemu miastu.

Głosy. Tak, tak. Słuchajcie, słuchajcie!

Rohrland. Smutna ta okoliczność musiała zapewne dojść i do twojej wiadomości, panie radco. Mimo to stoisz niezachwiany przy swem postanowieniu, bo

wiesz, że prawdziwy obywatel nie tylko swoje miasto winien mieć na oku.

Różne głosy. Nie! Nie! Tak! Tak!

Rohrland. Więc też jako obywatelowi naszego miasta i kraju całego, jako człowiekowi w całym tego słowa znaczeniu, hołd ci należny składamy. Oby twoje przedsiębiorstwo prawdziwie i trwałe korzyści przyniosło naszemu społeczeństwu!... Kolej żelazna może wprawdzie utorować do nas drogę rozmaitym zepsutym żywiołom z zagranicy, ale też przy jej pomocy możemy je szybko usuwać. A od szkodliwych żywiołów i teraz nawet nie jesteśmy wolni. A żeśmy się, jak wieść głosi, w ten uroczysty wieczór niektórych przedzej, jak można było przypuszczać, pozbyli...

Głosy. Ct, ct!

Rohrland. ...Uważam to za szczęśliwą wróżbę dla przedsiębiorstwa; że zaś sprawy tej dotykam tu właśnie, dewodzi najlepiej, iż znajdujemy się w domu, w którym względy etyczne górują nawet nad związkami rodzinnymi.

Głosy. Słuchajcie, słuchajcie! Brawo!

Bernik przerywając.. Pozwólcie...

Rohrland. Jeszcze tylko kilka słów, panie radco... Działając na rzecz dobra publicznego, nie myślałeś z pewnością o zysku lub nagrodach, jednakże nie możesz odrzucić skromnej oznaki uznania od wdzięcznych współobywateli, zwłaszcza w tak brzemiennej chwili, która według zapewnień ludzi doświadczonych, ma być pierwszym krokiem ku nowej epoce.

Liczne głosy. Brawo! Słuchajcie! Słuchajcie!

Rohrland daje znak służącym, którzy zbliżają się z koszem. Członkowie wydziału wyjmują z niego po kolei przedmioty wspomniane przez mowę.

Rohrland. Oto ofiarujemy ci serwis srebrny do kawy. Niech zdobi stół twój, gdy jak to często bywało, i nadal będziemy mieli przyjemność gromadzenia się

pod twym gościnnym dachem. — Was także, panowie, którzyście z taką gotowością stali u boku naszego najpierwszego współobywatela, prosimy o łaskawe przyjęcie skromnych upominków na pamiątkę tej chwili. Ten srebrny puchar przeznaczaliśmy dla pana, panie Rummel, któryś tak często przy pieniących się pucharach wymownemi słowy bronił naszych praw społecznych. Obys pan często miał sposobność puchar ten wnosić i wypróżniać. — Panu, panie Altstedt, wręczam to album z fotografiami współobywateli. Znane pańskie i uznane ogólnie uczucia ludzkości zjednały panu przyjaciół we wszystkich stronniactwach. — Panu zaś, panie Wiegeland, ofiarujemy — dla ozdobienia twego gabinetu — te moralne nauki na czerpanym papierze i w pięknej oprawie. Z biegiem lat zdobyłeś sobie pan niezwykły poważny pogląd na życie, a pracę swą uszlachetniałeś i podnosiłeś wyższemi, idealniejszymi myślami. Zwracając się do tłumy. A teraz, przyjaciele, wzniesmy okrzyk na cześć radcy Bernika i jego nieoddzielnych towarzyszy. Niech żyją podpory społeczeństwa!

Tłum. Niech żyje radca Bernik!... Niech żyją podpory społeczeństwa! Vivat! Vivat! Vivat!

Panna Hessel. Gratuluję, szwagrze!

Milczenie pełne oczekiwania.

Bernik poważnie i spokojnie. Współobywatelu! Rzecznik wasz powiedział, że czynimy dziś pierwszy krok ku nowej dobie, co — jak się spodziewam — istotnie się sprawdzi. Aby jednak wschód nowej jutrzenki przyspieszyć, musimy sobie zdobyć prawdę — prawdę, która dotąd w żadnej dziedzinie życia społecznego nie zdołała zjednać sobie prawa obywatelstwa. — Słuchający zdumiewają się coraz bardziej. Muszę rozpocząć od odrzucenia pochwał, których mi pan wikary, stosując się do okoliczności i zwyczaju, w swej hojności nie szczędził. Nie zasłużyłem na nie, bo aż do obecnej

chwili nie byłem wcale bezinteresownym. Jakkolwiek nie zawsze gonilem za samym zyskiem, to jednak odczuwam to teraz dobrze, iż głównymi sprężynami moich działań było pragnienie potęgi i chęć zdobycia wpływów i uznania.

Rummel półgłosem. Cóż to?...

Bernik. Jednakże nie mam powodu do robienia sobie wyrzutów, gdy chodzi o mych współobywateli, bo i teraz jeszcze sądzę, że między najbardziej zasłużonymi należy mi się jedno z miejsc pierwszych.

Liczne głosy. Tak, tak, tak!

Bernik. Obwiniam się jednak sam o to, że często za mało miałem odwagi, aby unikać dróg krętych, bo znając upodobania naszego społeczeństwa, lękałem się, aby w każdej mej sprawie nie upatrywano nieuczciwych pobudek... A teraz przystąpię do jądra sprawy.

Rummel niespokojny. Hm! Hm!

Bernik. Rozpowszechniły się tu pogłoski o zakupach wielkich obszarów. Te zakupy poczynił ja, sam jeden.

Stłumione głosy. Co on mówi? Radca? Radca Bernik?

Bernik. Chwilowo wszystko spoczywa jeszcze w moim ręku. Rzecz jasna, że zwierzyłem się z moich zamiarów panom Rummel, Altstedt i Wiegeland i porozumieliśmy się w tym względzie...

Rummel. To nieprawda! Dowodów!... Dowodów!...

Wiegeland. Nie porozumiewaliśmy się nigdy!

Altstedt. To już chyba zakrawa na...

Bernik. Przyznaję panom słuszność — nie porozumieliśmy się jeszcze o sprawie, którą chcę teraz oznajmić. Żywię jednak niezłomną nadzieję, że ci panowie nie odmówią mi przyzwolenia na postanowienie, aby te ziemie drogą akcyjnego kupna przeszły na własność ogółu; kto więc zechce, może sobie zapewnić udział.

Liczne głosy. Vivat radca Bernik! Niech żyje!

Rummel eicho do Bernika. Taka nikczemna zdrada!...

Altstedt tak samo. Tak nas nieuczciwie zwodził!...

Wiegeland. Do dyabła!... Biada mi! Com powiedział!

Tium na dworze. Vivat, vivat, vivat!

Bernik. Uciszcie się panowie. Nie zasługuję na te okrzyki, bo tego postanowienia nie powziąłem z góry. Zamierzałem wszystko obrócić na własną korzyść, teraz natomiast wyrzekam się tego zamiaru, zaznaczając, że obszary te pozostając w jednym ręku, daleko lepiej wyzyskaćby się dały. Pozostawiam jednak panom wybór; na żądanie jestem gotów zająć się ich zarządem, wedle udzielonych mi wskazówek.

Głosy. Tak! tak!

Bernik. Wprzód jednak współobywatele moi muszą mi dostatecznie poznać. Niech każdy pójdzie za moim przykładem, a nowa doba zostanie zapoczątkowaną. Dawne czasy z ich obłudą, kuglarstwem, nicością, sztuczną moralnością i marnymi względami, wystawmy na widok publiczny, jako muzeum ku powszechnej nauce, a temu muzeum — nieprawdaż panowie? — darujemy zarówno serwis do kawy, jak puhar, album i moralne nauki na czerpanym papierze i w pięknej oprawie.

Rummel. Oczywiście.

Wiegeland pomrukuje. Skoroście wszystko inne odebrali, to...

Altstedt. Owszem.

Bernik. A teraz następuje mój rachunek główny ze społeczeństwem. Przed chwilą wspomniano tu o zepsutych żywiołach, które miasto nasze dziś opuściły. Do tych słów mogę dodać coś, o czym nikt nie wie: Człowiek, o którym była wzmianka, nie sam wyjechał... towarzyszy mu jako przyszła małżonka...

Panna Hessel donośnym głosem. Dina Dorff!

Rohrland. Co?!

Pani Bernik. Co mówisz?!

Wśród zebranych wielkie poruszenie.

Rohrland. Porzuciła? Umknęła?... Z nim! Niepodobna!

Bernik. Aby jego żoną zostać, szanowny panie wikary! Dodam coś jeszcze. Półgłosem. Betty, znieś śmiało i spokojnie, co usłyszysz. Głośno. Głoszę, aby skłonić głowę przed tym człowiekiem, który przyjął na siebie wspianiałomyślnie cudzą winę. Współobywatele, precz z obłudą! Omal, że mi swym jadem całego życia nie zatrula. Dowiedziecie się o wszystkim. Ja to jestem owym winowajcą z przed lat piętnastu.

Pani Bernik drżącym, przytłumionym głosem. Ryszardzie!

Panna Bernik tak samo. Ach! Janie!

Panna Hessel. Dokonałeś wreszcie odrodzenia samego siebie!

Milczące zdumienie wśród obecnych.

Bernik. Tak, panowie, ja byłem winowajcą, a on kraj opuścił. Zatrzeć w pamięci złośliwe i bezpodstawne pogłoski, które wówczas powstały, dziś nie jest już w mocy śmiertelnika. Przed piętnastu laty dźwignąłem się przy ich pomocy, czy strąca one mnie dziś w przepaść... to niech każdy sam w sobie rozważy.

Rohrland. Co za grom! Najpierwszy obywatel miasta! Ciszej do pani Bernik. Jakże ubolewam nad panią!

Hilmar. Takie wyznanie! Tu już chyba przyznać należy...

Bernik. Nie pragnę dziś żadnego wyroku! Idźcie panowie do domu, rozważcie wszystko dobrze i... starajcie się wejrzeć we własną istotę. Gdy się umyśły wasze uspokoją, okaże się dopiero, czym stracił lub zyskał. Zegnaj panów! Przedemną ciągnie się jeszcze długa droga pokuty, ale to jest już rzeczą mego sumienia. Dobranoc! Precz z tym nieszczerym nastrojem! Czujemy wszyscy, że to nie na miejscu!

Rohrland. Nie, oczywiście. Ciszej do pani Bernik. Uciekła! a zatem nie była mnie godną. Półgłosem do członków wydziału. Sądzę, moi panowie, że po tem, co tu zaszło, będzie rzeczą najstosowniejszą rozejść się jak najspokojniej.

Hilmar. Jakże tu dalej dźwigać sztandar ducha...
O! O!

Więść rozniosła się tymczasem szeptem z ust do ust. Uczestnicy pochodu rozchodzą się przez ogród. Rummel i Alstedt odchodzą, zamieniając ze sobą ciche, lecz gwałtowne słowa. Hilmar wymyka się drzwiami na prawo. W salonie zostają w milczeniu Bernik, jego żona, panna Bernik, panna Hessel i Krapp.

Bernik. Czy mi to przebaczysz, Betty?

Pani Bernik spogląda nań z uśmiechem. **Czy wiesz, Ryszardzie, że to dla mnie najlepsza rękojmia szczęśliwej przyszłości?**

Bernik. Jak to?

Pani Bernik. Wiele lat sądziłam, że cię niegdyś posiadała, a potem utraciła. Teraz widzę, że cię nigdy nie posiadała, ale odtąd moim już zostaniesz na zawsze.

Bernik ścisną ją. **Betty, jestem już twoim! Lona to sprawiła, że się nauczyłam cenić ciebie. Ale niechże Olaf tu przyjdzie.**

Pani Bernik. Wnet go tu będziesz miał. — Panie Krapp!

Mówi z nim cicho w głębi. Krapp wychodzi do ogrodu. Zwolna zaczynają wygasać transparenty i światła w przeciwnych domach.

Bernik półgłosem. **Dzięki ci, Lono; ocaliłaś we mnie i dla mnie wszystko, co najzbawienniejsze.**

Panna Hessel. To było jedynym mem pragnieniem.

Bernik. Tak... czy też nie? Nie mogę cię odgadnąć.

Panna Hessel. Hm...

Bernik. Więc nie nienawisz cię tu przywiodła? Nie chcesz zemsty? Po cóż wróciłaś?

Panna Hessel. Stara miłość nie rdzewieje.

Bernik. Lono!

Panna Hessel. Gdy mi Jan przedstawił istotny stan rzeczy, poprzysięgłam sobie, że bohater mej młodości musi żyć wśród prawdy i swobody.

Bernik. Czemże ja, nędzne stworzenie, na to zasłużyłem?

Panna Hessel. My, kobiety, nie pytamy o zasługę, Ryszardzie.

Auler z Olafem wchodzi przez ogród.

Bernik idąc naprzeciw. **Olafie!**

Olaf. Ojcie, przysięgam, że już nigdy...

Bernik. Nie uciekniesz?

Olaf. Tak, przysięgam ci, ojcie.

Bernik. A ja przysięgam, że nigdy nie będziesz miał do tego powodu. Od dnia dzisiejszego chcę, abyś zwrastał nie jako spadkobierca moich życiowych zadań, lecz jako człowiek, który sam sobie powinien wytknąć drogę w życiu.

Olaf. Będę więc mógł zostać, czem zechcę?

Bernik. Tak, będziesz mógł.

Olaf. Dziękuję, ojcie... tylko proszę cię... ja nie chcę zostać podporą społeczeństwa.

Bernik. Tak? Dlaczegoż nie?

Olaf. O... ja myślę, że to musi być takie nudne.

Bernik. Będziesz porządnym chłopcem, Olafie, a co do reszty, zdajmy się na Boga. — A pan, Aulerze?...

Auler. Wiem, panie radco, jestem oddalony.

Bernik. Zostaniemy razem, Aulerze, pierwaj mi jednak przebaczysz...

Auler. Ja?... Ale okręt dziś już nie odpłynie.

Bernik. Ani też jutro. Udzieliłem panu za mało czasu. Okrętowi temu należy więcej poświęcić czasu i roboty.

Auler. Niezawodnie, panie radco... użyjemy nawet nowych maszyn!

Bernik. Tak będzie dobrze, Aulerze. Byłe sumienie i uczciwie. Niejedno tu u nas wymaga sumiennej i uczciwej naprawy. A teraz, dobranoc!

Auler. Dobranoc, panie radco... i stokrotnie dziękuję.

Wychodzi drzwiami na prawo.

Bernik. Jesteśmy sami. Moje nazwisko nie jaśnieje już na transparencji. Światła w oknach pogasły.

Panna Hessel. Czy pragniesz, aby je znowu zapalono?...

Bernik. Za nic w świecie! Gdzie ja zaszedłem! Zadrżeliście ze zgrozy, gdybyście się dowiedzieli. Mam teraz wrażenie, jak gdybym po otruciu odzyskał przytomność i spokój. Czuję to, że mogę jeszcze wrócić do zdrowia i sił młodości. Chodźcie bliżej, przytulcie się do mnie. Chodź Betty, chodź Olafie, mój synu, i ty Marto... widzę teraz, czem byłaś dla mnie przez tyle lat.

Panna Hessel. Bardzo wierzę. Wasze społeczeństwo nie uwzględni istnienia kobiety.

Bernik. Wielka prawda... i dlatego właśnie — Lono, to nieodwołalne: pozostaniesz ze mną i z Betty!

Pani Bernik. Tak, Lono, zostań z nami!

Panna Hessel. Cóżby się stało z moją odpowiedzialnością za was, ludzi młodych, którzy się przed chwilą dopiero odnaleźli — gdybym was opuściła? Czy nie jestem waszą matką-opiekunką? Ja i ty, Marto, dwie stare ciotki... Czemu się przyglądasz?

Panna Bernik. Jak się niebo wypogodziło! Jaki blask opromienił morze! »Palma« ma szczęście.

Panna Hessel. Ma szczęście na pokładzie.

Bernik. A my... nas czeka okres pracy ciężkiej, poważnej, szczególnie mnie. Ale nie cofnę się; wy mię tylko nie opuszczajcie, wy, wierne i szczerze towarzyski. Zdobyłem sobie dziś jeszcze jedną naukę — że podporami społeczeństwa są jego kobiety.

Panna Hessel. Krucho to prawda, szwagrze. Kładzie mi znacząco rękę na ramieniu. Nie... Swoboda i prawda... oto podpory społeczeństwa!



105849

Niema człowieka, któryby wśród setek jej tomików nie znalazł rzeczy pożądanых i zajmujących.

Biblioteka Powszechna już w trzecim roku swego istnienia odznaczona została medalem wielkiej wystawy krajowej we Lwowie, a w bardzo licznych głosach prasy odzywało się żywe uznanie dla jej zasług około szerzenia oświaty.

Inne wydawnictwo tejże firmy Księgarskiej W. ZUKERKANDLA w ZŁOCZOWIE ma na oku nasze pokolenie dorastające. Jest to

BIBLIOTECZKA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

za wierająca książeczki zajmujące, zabawne i pouczające. Każdy tomik w skromnej ale gustownej oprawie, stanowi odrębną całość i jest osobno do nabycia.

Taż firma Księgarska W. ZUKERKANDEL w ZŁOCZOWIE wydaje pod tytułem

BIBLIOTEKA KLASYKÓW RZYMSKICH I GRECKICH

preparacje do lektury autorów starożytnych w gimnazjach.

Każdy zeszyt osobno do nabycia.

105849

Najtańsze polskie wydawnictwo:

BIBLIOTEKA POWSZECHNA
ZUKERKANDLA.

Dotychczas wyszło

1136 numerów.



Każde dzieło

osobno do nabycia.

Na składzie w księgarniach.

SZCZEGÓLWE KATALOGI NA ŻĄDANIE DARMO I OPŁATNIE.

LUTY 1928.

NAJNOWSZE TOMIKI:

1106-1108. Brückner A.
Adam Mickiewicz, ży-
wot i dzieła.

1109-1111. Brückner A.
Juljusz Słowacki, ży-
wot i dzieła.

1112-1114. Brückner A.
Zygmunt Krasiński,
żywot i dzieła.

1115-1117. Kraszewski J. !.
Podróż do miastecz-
ka. Powieść (z dodatkiem
kilku pomniejszych.)

1118-1120. Morgenbesser A.
Obrona Sokołowa.
Śpiew bohaterski.

1121. Morgenbesser A.
Palestra czyli wojna
prawników. Poemat żar-
tobliwy w 7 pieśniach.

1122. Morgenbesser A. My-
ślący burmistrz. Poemat
żartobliwy w 7 pieśniach.

1123-1124. Słowacki Juljusz,
Fantazy. (Niepoprawni.)
Dramat w 5 aktach.

1125-1128. Brückner A.
Dzieje literatury pol-
skiej.

1129-1130. Brodziński K.
Mowa o narodowości
Polaków i Posłanie
do braci wygnańców.

1131-1135. Kraszewski J. I.
Jermoła.

1136. Goszczyński Seweryn,
Oda. Powieść tatrzańska.

Dalsze tomiki w druku.